ŁOWIEC POLSKI



„Dar" pod okiścią. Fot. W. Puchalski.

ORGAN

POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 4 (888) 1 LUTEGO 1938 R.



Nad potężnym odyńcem. Fot. J. hr. Dunin Karwicki.

MUSIMY IŚĆ NAPRZÓD...

Bezpowrotnie minęły czasy, kiedy przeciętny uczestnik tego czy innego społeczeństwa mógł dowolnie gospodarować na swoich śmieciach. Prawo własności jednostki było podstawą więzów społecznych. Okres ten minął — a ten, który po nim nastąpił jeszcze nie wykończył nowych podstaw, więc żyjemy w przełomowych dniach, kiedy społeczeństwo polskie buduje zręby pod gmach, mający być dlań siedzibą na długie dziesiątki lat. Do budowy tej powołani są wszyscy. Nikt nie może zostać na uboczu, zamknąć się w swojej skorupce i tylko pod kątem swych własnych spraw żądać od reszty społeczeństwa uznania jego stanowiska.. Choćby powoływał się nie wiedzieć na jakie tradycje i zwyczaje. Jeżeli nie stanie w szeregu razem z innymi, niech nie skarży się później na przeciwności losu.

Wszystko to dotyczy i łowiectwa polskiego.

Łowiectwo polskie posiada wspaniałą tradycję, oparte jest na przekazywanych z pokolenia na pokolenie zwyczajach łowieckich, stanowiących niepisany zbiór prawa łowieckiego, trwalszy od niejednej ustawy, a wreszcie skarb, będący przedmiotem zazdrości myśliwców całej Europy, gęsto zamieszkane knieje i pola przez zwierza wszelakiego, któregobyś darmo szukał w wielu innych krajach.

Przed wielką wojną, kiedy prawo własności jednostki stanowiło podstawę więzów społecznych — w granicach tego prawa przekazywane były tradycje i zwyczaje łowieckie. Niemniej zachodziła potrzeba coraz częstsza, aby ważniejsze dziedziny łowiectwa obejmować ustawą.

Obecnie prawo własności jednostki coraz bardziej ograniczane jest na rzecz prawa mającego na celu dobro powszechne, bądź dobro kół zrzeszonych dla wspólnych celów, przez ustawę za pożyteczne dla całej społeczności uznanych.

Czy łowiectwo polskie ma pozostać na uboczu, zamknąć się w swojej skorupce i żądać, aby nikt nie śmiał wtrącać się do jego gospodarstwa? — Gdyby przynajmniej sprawy łowieckie, prawa i obowiązki, korzyści i straty, dotyczyły tylko tych wybranych, którzy powiedzmy np. między sobą za myśliwych się uznają. Ale w rzeczywistości istnieje wiele liczniejsza rzesza myśliwych, sprawy łowieckie dotyczą również wielu już nie jednostek, ale całych grup społecznych, przedewszystkiem rolników. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że 70% polskiego społeczeństwa stanowią rolnicy, to łacno musi się wywnioskować, że sprawy łowieckie muszą być uzgodnione z rolniczemi. W przeciwnym razie zamiast obopólnej korzyści, a dalej korzyści dla całości społeczeństwa, wynikają waśnie, przynoszące nieobliczalne straty wszystkim uczestnikom.

Trzeba zatem szukać drogi zarówno do współdziałania całego łowiectwa, wszystkich myśliwych, z całem poza myślistwem pozostającem społeczeństwem, aby sprawy łowieckie ogólnie za ważną część spraw powszechnych były uznane, aby łowiectwo stało się cenną wartością dla całego społeczeństwa. Trudno nie wspomnieć, że dziś aż nazbyt często jeszcze łowiectwo jest przez wielu, wielu, nieraz do wydawania sądów o ludzkich postępkach powołanych, niezbyt właściwie oceniane.

Gdyby wartości żywe, zwierz dziki, który cudne nasze knieje i piękne pola licznie zamieszkuje, były dla nas, dziś czy jutro jeszcze polujących, wyłącznie

przeznaczone, gdyby tradycja nasza i zwyczaj nam przez ojców i dziadów przekazane, zwierza od zagłady chronić, naszym następcom w ilości i jakości możliwie nie gorszej pozostawiać nie nakazywały, no, to jeszcze polscy myśliwi, nie dbając o sąd potomności, mogliby sobie powiedzieć: polujemy gdzie się da, na co się da i ile tylko zabić można, a po nas niech się dzieje co chce. Czyż jest jednak w Polsce choć jeden myśliwy, któryby taki sąd z przekonaniem mógł wypowiedzieć, ba nawet pomyśleć? A gdyby się znalazł, czy choć przez chwilę byłby przez innych za godnego noszenia miana polskiego łowcy uznany? Zdaje mi się, że odpowiedź jest zbędna.



Marjan Hr. Czarnecki z ubitym rysiem w Dąbrowicy na Wołyniu.
Fot. L. Hr. Broel-Platerowa.

A teraz któż w Polsce ma być myśliwym, komu to mają przysługiwać prawa i obowiązki? Tak, obowiązki winny przysługiwać, gdyż nie powinny nigdy być dla myśliwego ciężarem. Czy jest możliwem, aby na 1000 polujących, czy może nawet tylko strzelających, mogło 50 czy 100 zejść się i powiedzieć sobie: oto myśmy myśliwi. A pozostali? Pozostałych za myśliwych nie uznajemy, nic nas oni nie obchodzą, byłoby nawet lepiej, aby strzelby do ręki nie brali. Czy mogliby ci nieliczni wystąpić do społeczeństwa o uznanie ich praw, praw do gospodarcwania w ciasnej skorupce? Odpowiadać znów nie trzeba. Przepraszam, odpowiedzieć trzeba, trzeba koniecznie i to jak najprędzej.

Nie ulega wątpliwości, że w miarę wzrostu liczby mieszkańców pięknego naszego kraju przybywa i przybywać będzie polujących, którzy są i będą, czy chcieliby zostać myśliwymi. Tego wzrostu zatrzymać nie jest w mocy ludzkiej. Ale można i trzeba dążyć, aby każdy polujący jak najprędzej stawał się myśliwym, posłusznym tradycjom i zwyczajom łowieckim, aby każdy mógł znaleźć swe miejsce w społeczności myśliwskiej, ale właśnie pod warunkiem przestrzegania statutów tejże społeczności.

Aby zadaniu takiemu sprostać, nie wystarczy, aby istniały kółka czy nawet towarzystwa t. zw. ideowe. Sama idea jest rzeczą piękną, ale chleba nie daje, jeżeli nie znajdzie wyrazu w obowiązującym w ten czy inny sposób przepisie. Aby nasze tradycje i zwyczaje, słuszne prawa i obowiązki, zostały przez społeczeństwo polskie uznane i za pożyteczne uważane, a przez obowiązujące prawo chronione, musi polskie myślistwo mieć jednolite statuty, którym każdy za myśliwego chcący uchodzić będzie mógł, a w następstwie będzie musiał podlegać. Jeżeli zaś obowiązków dobrowolnie przyjętych nie będzie wypełniał, wtedy powszechność statutów pozwoli wyzbyć się go, jako niegodnego miana myśliwego polskiego, a nikt nie będzie mógł się skarżyć, że został pokrzywdzony. Temu zapobiegnie uznanie powszechnie obowiązujących statutów przez całe społeczeństwo polskie za pożyteczne a sprawiedliwe.

Musimy zatem mieć związek polskich myśliwych powszechny, wszystkim dostępny, dla całej naszej Polski jednolity. Oparci o taką organizację, my polscy myśliwi, możemy żądać i musimy uzyskać poczesne miejsce dla łowiectwa polskiego w budującej się ojczyźnie naszej. Wtedy nietylko czerpać będziemy ze skarbnicy naszych zwierzostanów, aby osiągać zwycięstwa na wystawach międzynarodowych, ale sięgniemy po zwycięstwo prawdziwe, pozostawiając następnym pokoleniom wyznawców św. Huberta knieje nasze nadal pełne zwierza wszelakiego, prawa jak parać się łowiectwem, jak czcić i kochać nasze myśliwskie rzemiosło. Musimy całemu naszemu społeczeństwu, temu dzisiejszemu i temu jutrzejszemu, udowodnić i wpoić głęboko, że łowiectwo to nietylko zabawka dla wybranych, ale wdzięczne rzemiosło każdemu dostępne, dla społeczeństwa wielkie wartości nietylko gospodarcze przynoszące. Wszak pielęgnowanie zwyczajów i tradycji, przestrzeganie ich w życiu codziennem, nie poślednią wartością jest każdej społeczności.



Ze stanowiska. Fot. Wł. Korsak.

Polski Związek Łowiecki wszedł już na drogę do celów tych wiodącą, nie ustaje w pracy nadal, która jednak łatwą nie jest, choć zdawałoby się, że żaden polski myśliwy przeszkadzać jej nie będzie, a przeciwnie całem sercem pomagać winien.

Z drogi tej, raz obranej, schodzić nie wolno. Musimy iść naprzód.

JERZY BLESZYŃSKI.

JAK WYKORZYSTAĆ ZWIERZOSTANY

Sukces łowiectwa polskiego na Międzynarodowej Wystawie w Berlinie r. 1937 był opisywany i sławiony we wszystkich pismach fachowych i codziennych, we wszystkich państwach europejskich i poza oceanem, które jako państwa kulturalne wysoko cenią tę dziedzinę gospodarczą, jej znaczenie ekonomiczne i społeczne. Z wielką ilością powinszowań, kierowanych pod moim adresem, łączy się pytanie: — w jaki sposób można wykorzystać ten wielki sukces i rozgłos w całym świecie, by dał on należytą korzyść polskiej gospodarce łowieckiej.

Zagadnienie to jest aktualne zarówno dla naszych władz państwowych, jak i dla ogółu myśliwych. Słyszałem już wiele zdań i nawet rad w tym kierunku, lecz wszystkie one dotyczą jedynie możliwości rozwoju zagranicznej turystyki łowieckiej w Polsce. Mnie osobiście nie trafia to do przekonania. Jestem zdania, że osiągnęlibyśmy efekty finansowe na krótką metę, bowiem tylko masowa turystyka może dać wybitny efekt, nasze zaś łowiska zupełnie nie odpowiadają narazie temu rodzajowi ich użytkowania.

Dla powstania masowej turystyki łowieckiej niezbędną jest wielka ilość zwierzyny, zwłaszcza drobnej, bo nieliczna tylko ilość przyjezdnych nemrodów będzie par excellence myśliwymi, którzy i tak przyjadą, większość natomiast cudzoziemców pragnie przedewszystkiem nastrzelać się i żąda rekordów ilościowych, a mniej chodzi im o zdobycie wspaniałych trofeów. Nieliczne łowiska, obfitujące w drobną zwierzynę, należą do właścicieli ziemskich, zapraszających swych gości myśliwych, z którymi ich łączą stosunki towarzyskie, w celu rewanżowania się za wzajemne tego rodzaju zaproszenia. Ziemianie, decydujący się na urządzanie polowań dochodowych, są bardzo nieliczni i znajdują zawsze reflektantów pośród myśliwych polskich, wolą mieć z nimi do czynienia ze względu na ryzyko nieudania się polowania, co w naszych warunkach klimatycznych nawet przy najlepszym zwierzostanie często się zdarza. W razie nieodpowiedniej aury termin polowania może być przesunięty, co naszym myśliwym nie sprawi zbyt dużo kłopotów, są oni przytem mniej wymagający co do wygód kwaterowania i wyników ilościowych polowania. Przy polowaniach urządzanych dla cudzoziemców termin polowania, ze względu na ograniczony czas ich pobytu, musi być niezależnie od pogody dotrzymany.

Jest rzeczą zrozumiałą, że myśliwy - obcokrajowiec, który musi pokonać szereg trudności formalnych, jak otrzymanie paszportu, dewiz, pozwolenia na broń i karty łowieckiej, i traci przytem wiele czasu i pieniędzy na przejazd, wymaga wobec tego odpowiedniego ekwiwalentu w postaci świetnych wyników, jakich w 100% nie możemy mu zawsze zapewnić. Trzeba mieć przytem na uwadze, że sąsiednie kraje, jak np. Węgry i Czechosłowacja, słyną z wielkiej ilości drobnej zwierzyny.

Ściąganie już dzisiaj do Polski wielkich ilości obcokrajowców byłoby grą na b. krótką metę, gdyż szybko rozniosłoby się po świecie, iż wyniki polowań zbiorowych na drobną zwierzynę w Polsce są kiepskie i że ten wysławiany „raj myśliwych" jest sztucznie i bezpodstawnie rozreklamowany.

Wypowiadając powyższe zdanie, nie twierdzę, że w niedalekiej nawet przyszłości łowiska nasze z drobną zwierzyną, nie mogą być doprowadzone do tak znakomitego stanu, jaki cechuje łowiska czeskie i węgierskie, mamy bowiem ku temu wszelkie warunki siedliskowe i klimatyczne, brak nam tylko poszanowania dla zwierzyny wśród przeważającej części społeczeństwa. Wnykarstwo, sidlarstwo i kłusownictwo, oraz włóczące się po łowiskach psy i koty niweczą wszelkie zabiegi hodowców i zniechęcają ich do łożenia pracy i nakładu kapitału, które do należytego zagospodarowania łowisk są konieczne.

Zupełnie inaczej się przedstawia polowanie obcokrajowców na grubą zwierzynę, do której odmiennie się ustosunkowują, będąc myśliwymi z krwi i kości. Oni zdają sobie jasno sprawę, że czekają ich wielkie trudy, poważne wydatki, długa podróż i nie rekordy ilościowe, lecz pojedyncze cenne trofea, na zdobycie których nie zawsze liczą, gdyż zależy to od łaski św. Huberta. Tacy myśliwi przyjeżdżali i zawsze będą przyjeżdżać do naszego „raju myśliwych", znajdując przysposobione do tego rodzaju łowów tereny, zwłaszcza w I. p. Wydają przytem znaczne kwoty w związku z pobytem, dając przeto większe stosunkowo dochody krajowi, niż wspomiani wyżej myśliwi zagraniczni, polujący na drobną zwierzynę.

Zdobyte przez nich rekordowe nieraz trofea, jakie mieliśmy w naszem stoisku na wystawie w Berlinie, są najlepszą rzeczową reklamą, świadczącą o jakości naszej zwierzyny.

*

Na wystawie w Berlinie udowodniliśmy światu myśliwych, że nasza zwierzyna jakościowo jest najlepsza. Rekordy nasze, umieszczone w sali honorowej, pochodzą przeważnie z czasów odrodzonej Polski, co dowodzi, iż jakość zwierzyny przy systemie naszej gospodarki łowieckiej stale się polepsza. W szeregu państw stwierdzić się daje natomiast, że jakość zwierzyny podupada, co wynika przeważnie z nadmiernej ilości hodowanej zwierzyny i nieodświeżania krwi.

Wobec tego najbardziej racjonalnem posunięciem dla łowiectwa polskiego byłoby wystąpienie na rynek światowy z żywą zwierzyną, poczynając od płowej, a kończąc na drobnej. Jako przykład życiowy posłużyć może porównanie ceny, osiąganej przeciętnie za zająca ubitego — 2 zł., gdy cena za żywą sztukę złowioną wynosi — 15 zł. loco łowisko bez opakowania, lub sarny, za którą w wieku 2 lat o wadze 18 kg. po wypatroszeniu otrzymujemy ca 10 zł., zaś za odchowane koźlę bez różnicy płci średnio 50 zł. Drobna zwierzyna (zwłaszcza zające i kuropatwy) odrazu po złowieniu jest sprzedawana. Zwierzyna płowa eksportowana powinna być w wieku młodocianym (± 3 miesiące), łowienie jej w tym wypadku nie wymaga specjalnych narzędzi, musi być ona jednak wyhodowana w ogrodzeniu do wieku wyżej wspomnianego. Koszt karmienia koźląt i cieląt w ciągu 100 dni mlekiem wyniesie przy pierwszych — 15 zł, przy drugich 30 zł (cena mleka 10 gr za litr). Dziki warchlaki (za które dostajemy 4 — 5 zł w stanie bitym) łowić należy jesienią i odrazu je spieniężać. Niewykluczona jest także sprzedaż starszych sztuk. Za warchlaki wg informacji udzielonych przez Dyr. J. Żabińskiego dostajemy od 100—120 złotych.

*

Przeprowadziłem z Dyr. Żabińskim rozmowę na temat ujęcia przez Ogród Zoologiczny w Warszawie handlu żywą zwierzyną. Dyr. Żabiński jest zdania, że idea ta jest bardzo na czasie i ma wszelkie możliwości powodzenia, wobec czego chętnie przystąpi do jej realizacji.

H. KNOTHE.

PIĘĆ MIOTÓW

Śliczne są jesienne polowania z naganką na jarząbki. W cichy, mglisty dzień, spłakany przezroczystemi łzami rosy, gromadka dzieci i wyrostków, pod dowództwem kilku gajowych, obcina małe parohektarowe kawałki błot leśnych lub świerczyny i sunąc się z lekkim hałasem — wypiera zwierzynę na stanowiska myśliwych. Szybko po sobie następują mioty, a w dobranem towarzystwie 4—5 strzelb, melancholijny dzień jesienny upływa, jak chwila.

Na łowach takich zachwyca przedewszystkiem piękno różnobarwnej szaty lasu, strojnej w złotogłów i purpurę, oraz głęboka cisza kniei, przerywana tylko szmerem spadających z gałęzi kropel wody i oddalonem skrzeczeniem śmigających w gęstwinie sójek. Ale najwięcej podnieca bliskie już być może spotkanie z tajemniczym jarząbkiem — z tą cenną i interesującą zwierzyną, która po oddalonem, przytłumionem burknięciu zjawia się, jak duch, na przeciąg jednej sekundy, w siatce mozajki konarów drzewnych, lub też podfruwa beztrosko i sadowi się na grubszym sęku, w pobliżu ukrytego łowca.



Naganiacz. Fot. St. Zdan Michajłowicz.

A jak silnie bije serce myśliwskie, gdy zamiast jarząbka wystrzeli z przyziemnych kęp czarna sylwetka wspaniałego cietrzewia, albo przedefiluje przed nami w ciężkim kłusie umorusany, sadlisty wycinek. I ponosi nas po strzale z drylinga przemożna gorączka myśliwska, by podbiedz ku wgłębieniu, gdzie przygięte pręty krzaków wskazują miejsce upadku trafionego zwierza.

•

Sapiąc i wyjąc rozpaczliwie pomykało ochlapane błotem auto przez puszczańskie ostępy. Koleiny bagnistych dróżek, miażdżone bezlitosnemi oponami, pieniły się z wściekłością i płakały z żalu, roniąc dokoła liczne bryzgi swych mętnych łez. Aż wreszcie motor chrapnął donośnie i stanął. Jesteśmy na miejscu. Z obszernego wnętrza samochodu wyłaniają się postacie członków tego ściśle literackiego polowania. Bo myśliwymi są sami pisarze: Włodzimierz Korsak, Melchior Wańkowicz i kreślący te słowa. Czwartą strzelbę dzierży uprzejmy kierownik łowów p. leśn. Czechowicz, który wprawdzie nie sięgał dotąd po pióro, jednak, jak na zamiłowanego leśnika i myśliwego przystało — duszę posiada nawskroś poetycką.

Gromadka oczekującej naganki przygląda się nam ciekawie i zarazem krytycznie. Od tych kilku bowiem „panów z miasta" zależy rezultat jej starań i wysiłków. A naganiacz przeżywa przecież także emocje myśliwskie. Te iskrzące się spojrzenia, te nerwowe przestępowanie z nogi na nogę znamionują ukrytą siłę uczuć, tajemny dreszcz emocji, ściskającej gwałtownie tłukące się serca w piersiach, pod szarym kubrakiem.

Ruszamy do kniei. Pierwsze pędzenie zaczyna się już w pobliżu dróżki leśnej, na której zostaliśmy rozstawieni. Stary, rzadki bór sosnowy łączy się rudem pasmem z gęstwiną zielonej świerczyny, ciemnej i kryjącej niespodzianki. Wprawdzie możliwość spotkania w tem miejscu jarząbka jest jeszcze dość problematyczna — to jednak nadzieja myśliwska, ta przekorna kusisielka, burzy już krew i wywołuje niepokój oczekiwania. Wreszcie w ciszę boru wdziera się sygnał ruszenia naganki.

Pierwsze przeciągnęły przestraszone sójki. Donośną wrzawą przeszło przez las ich wrzaskliwe skrzeczenie, elektryzujące dzikich mieszkańców gęstwin. Na konarze sosny zachrobotała wiewiórka, piskiem i cmokaniem wyrażając swój przestrach. Zwierzyny jednak nie było. Z monotonnym gwarem zbliżała się naganka, oplatająca żywym wieńcem gąszcze świerkowe. Aż nagle na skrzydle zatętniła głucho ziemia, trzasnęły łamane w susach gałązki i piękny stary rogacz leciutko, jak baletmistrz, przeskoczył dróżkę, ginąc w zagajniku. Jeszcze czas jakiś błyskał płową plamą w zieleni, lecz wkrótce znikł zupełnie. Nikt doń nie strzelił, a jednak byliśmy wszyscy równie szczęśliwi z możności zobaczenia tego wspaniałego widowiska.

Drugi miot obejmuje błotko leśne, okolone szpalerem starodrzewia. Ciemno tu i ponuro. Zapach wilgoci i pleśni, pomieszany z ostrą wonią grzybów, płynie z gęstwiny szeroką falą. Bujne paprocie tworzą labirynt karłowatej dżungli, w której buszuje napuszony strzyżyk. Cisza. Nawet naganka posuwa się jakoś bardziej milcząco, tajemniczo.

Naraz tam, daleko przed nami, wybucha gwałtowny, drżący z emocji okrzyk chłopaków:

— Pilnuj! Wołk, wołk!

Stary basior zadrzemał pod krzakiem w ciemnej gęstwinie błotnej i dostał się wypadkowo w obręcz miotu. Na linji strzelców zapanowało długie, niepokojące wyczekiwanie. Dziś zdaję sobie dokładnie sprawę, że nie strzelałbym przecież do tego wilka, bo futro wrześniowe nie przedstawia żadnej wartości, a przytem miałem w lufach drobny śrut. Wówczas jednak wizja tej wspaniałej kresowej zwierzyny zelektryzowała mnie odrazu, a serce tłukło się gorączkowo w zdyszanej piersi. Ale przebiegły szary drapieżnik wyczuł natychmiast grozę sytuacji — to też wymknął się cichutko bokiem, ominąwszy niebezpieczne stanowisko.

Znowu bezładnie pokrzykuje naganka. Jak szara kula, mignął w oddali lecący jarząbek i usiadł na omszonej świerkowej gałęzi. Niepozornie spłaszczony, nieruchomy, przypomina narośl drzewną. Może podfrunie bliżej? Zerwał się ponownie, zagrzmiał krótko lotami i znikł w mrocznym, bagnistym ostępie. Ha, trudno!

Naganka coraz bliżej. Już słychać dokładnie chlupot deptanego błota, brzmią rozmowy i śmiechu rozweselonych chłopaków. W prawo odemnie bucha strzał i rozpływa się w oddali, niby suche kaszlnięcie. Widzę, jak towarzysz powraca na swe stanowisko, niosąc pstrego ptaka, potrząsającego w takt kroków martwo zwisającą główką. Na linji huczą dalsze strzały. Drugi miot jest już skończony.

Przechodzimy do bardziej odległych ostępów. Długą, niedbale wyciągniętą linją dąży tam naganka,

skacząc po kępach, śpieszą strzelcy. Zielone, mchowe podłoże coraz częściej obejmuje stopy zimnym uściskiem mętnej wody, czarne, błotne kałuże i strugi zastępują drogę. Ubrany po miejsku Wańkowicz z rozpaczą spogląda na swe żółte półbuciki i cienkie, popielate pończochy, manewrując jednocześnie pomiędzy suchszemi ścieżynkami, lub czepiając się krzaków. Wszyscy mamy już nogi przemoczone, ale nie czas teraz o tem myśleć, gdyż znowu stajemy na stanowiskach.

Trzeci miot. Gęsta gmatwanina łapek świerkowych wchłonęła nas w siebie całkowicie. Na odległej przesiece widzę sylwetkę przytulonego do pnia Korsaka. Dookoła straszne gąszczary, w jednem tylko miejscu nieco rzadsza luka, umożliwiająca strzał do 20-tu kroków.

Zaledwie zdążyłem nabić strzelbę, kiedy tuż przedemną zagrzmiały gromko skrzydła i zaraz popłynęły gardłowo dźwięki „gar-khorr-khor". Odpowiedziało im takież nawoływanie. To stadko głuszców. Potężne łomoty, trzask gałązek — zwiastują przelatywanie ptaków z drzewa na drzewo. Nad głową usiadła mi głuszyca. Patrzy ciekawie, wykręca szyję, drga nerwowo złożonemi lotami.

Wtem targnął powietrzem lekki szmer. To ruszyła naganka. Tu i ówdzie burknął wzlatujący jarząbek z przewlekłym hukiem, przypominającym grzmot, porwały się w gęstwinie głuszce. Dwa piękne czarne koguty popłynęły nademną, reszta, jak samoloty, szybowała dalej, uszykowana w bezładną gromadę. Teraz częściej furkały niewidoczne jarząbki, żaden jednak nie podleciał ku mnie. Na linji huczały echa wystrzałów, mieszając się z coraz donośniejszem pokrzykiwaniem chłopaków. Nadchodzą ostatnie, gorączkowe minuty wyczekiwania — może coś jeszcze będzie.

Przez zwartą gęstwinę z trzaskiem przedostaje się naganka, widać już wyłaniające się pojedyńcze ludzkie sylwetki. Niektóre z nich niosą z nabożną czcią ubite ptaki. Koniec miotu. Lufy złamanej dubeltówki opadają w dół, ukazując żółte koszulki ładunków. Dotąd nie strzelałem.

Schodzimy się na miejscu zbiórki. Zmrużony Wańkowicz celuje ku nam lśniącą soczewką objektywu Leici, z innej strony sekunduje mu Korsak. Nagle rozlega się głośny trzask — to załamały się kładki. Autor „Szczenięcych lat" powoli wyłazi z głębokiej kałuży. Śpieszyć się niema poco: żółte półbuciki i tak już wybitnie poczerniały, a popielate pończochy nasiąkły piękną różowością ciała. Odtąd w takt kroków piszczały żałośnie rozmiękłe podeszwy, jednak ich właściciel nie tracił dobrego humoru.

— To bagatela! Choć swoją drogą w Kalużycach takich błot nie było. Ale piękne tu okolice, no i jarząbki, wilki...

A jarząbki czekały już na nas w czwartym miocie i to nietylko one same. Zaledwie bowiem ruszyliśmy przez bagnisty zagajnik brzozowy, przeprawiając się co chwilę po drągach i kładkach, zawieszonych nad wartkiemi strugami, albo czarną głębią błotnistych bajorów, zaledwie otoczyły nas łany trzcin szemrzących cicho, nastrojowo — kiedy nagle wstrząsnął nami do głębi okrzyk leśniczego.

— Uwaga, łoś!

Duża, wyraźna plama zwierzęcia pruła szeroką piersią zwarte zarośla, zwolna pogrążając się w nich całkowicie. Jeszcze tylko szeleściło listowie, pękały gałązki, lub klaskało błoto — deptane ciężkiemi stopami łopatacza na znak, że istotnie przeszedł tędy najwspanialszy okaz kresowej zwierzyny i zaprezentował się nam w żywej postaci bohater licznych obrazów nieśmiertelnego Fałata.

Zaraz za mokradłem rozstawiliśmy się znowu. Wąska, przecięta linja oddzielała wilgotny zagajnik olchowo-brzozowy od ciemnej gęstwiny starych świerków, wysuwających na odkrytą przesiekę miotlaste łapki gałęzi, po których z piskiem uganiały się sikorki. Zwróceni twarzami ku liściastej ścianie lasu — czekaliśmy. Sunąca się naganka monotonnie, jak zegar, postukiwała pałkami po mijanych drzewach, zrzadka pokrzykując.

Wtem burknął zrywający się jarząbek. Dostrzegłem go w oddali, jak siadał na czubku starej olchy, przywierając starannie do odchylonej od pnia chropowatej gałęzi. Po chwili sfrunął. Na rozpostartych lotach szybował dalej, kunsztownemi wirażami omijając drzewa, aż wreszcie szeroką spiralą zapadł w zieleni kołtuniastego listowia. Majaczył teraz w siatce młodych pędów ciemną, nieruchomą plamą, jak stare, zmurszałe gniazdo ptasie. Strzał był daleki i niepewny, zaryzykowałem jednak, ufny w ostrość polskich ładunków.



Wańkowicz notuje wrażenia. Fot. Wł. Korsak.

Jarząbek wysunął się z ukrycia i ciężko pracując lotami minął linję, by zaraz runąć z wysokości na leśne podłoże. Zbliżyłem się ku niemu. Płynął po powierzchni błotnej kałuży martwy, znieruchomiały. Powoli wracałem na stanowisko, niosąc tak miłą sercu myśliwskiemu zdobycz. A z gąszczów olszyny wyłaniała się już naganka.

Zaczynał padać deszcz. Bujne, gęste krople uderzały o gałęzie, rozpylając się na siwą, drobniutką mgłę, przesłaniającą dalsze plany perspektywy mętną firanką. Szybko braliśmy ostatni miot — moczar leśny. Ucieszona końcem łowów naganka szła żwawo, ale sprawnie. Nic jednak nie było i linja strzelców milczała zawzięcie.

Aż nagle zygzakowatym lotem jęły przeszywać gąszcza błotne jakieś rude ptaki. Jeden, drugi, potem znowu jeden.

— Słonki! — odpowiadam na nieme znaki Wańkowicza.

Ale słonek już niema. Przemknęły się błyskawicznie najdzikszą szyją bagniska i uszły w gąszczary. Ucichły nawoływania chłopaków, zeszliśmy ze stanowisk. Ostatnie pędzenie dzisiejsze było skończone.

•

Pięć krótkich miotów — sześć najpiękniejszych gatunków kresowej zwierzyny. Ileż czaru, ile przedziwnego uroku kryje się we wrażeniach z jednego takiego dnia łowów! Pisze się o tem długo, nieudolnie, może nawet nudnie, jakże jednak silnie i szybko przeżywa się te epizody! I choć wartka struga czasu uniesie nas daleko od tamtych chwil, choć zaginą w pamięci szczegóły i daty — wspomnienia z polowań przetrwają tak długo, jak długo bić będą nasze serca myśliwskie.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI.

PIERWSZY DZIK

Po sumie ludzie pozbijali się przed kościołem w ruchliwe gromadki i z zapałem rozprawiali. Pośrodku jednej z nich stał starszy gospodarz. Wysoko nad innymi górował baranią czapą, w zapale oratorskim zsuniętą na tył głowy. Potężnemi ramionami machał nad głowami słuchaczy, coś rozgłośnie opowiadając. To, co mówił, było widocznie wielce zabawne, gdyż słuchacze co chwila wybuchali głośnym śmiechem. Wystarczył mi jeden rzut oka w tę stronę, aby poznać towarzysza letnich polowań na kaczki. Był to myśliwy, jakiego próżnoby szukać w całej okolicy. Twarz jego pomarszczona, zczerniała od wichrów, wraz z potężnym, zagiętym ku dołowi nosem, stwarzała podobieństwo do jastrzębia. Gdy mnie ujrzał, ramiona rozpędzone, jak skrzydła wiatraka, zatrzymały się i zwolna opadły:

— A przec to panicz! Kto to się spodziewał! Panicz pewnikiem na polowanie?



Z polowań w Zawiszczu. Fot. St. Zdan Michajłowicz

— Tak — skinąłem głową.

— O ja wim, zaram powiedział! Ha, ha, ha — śmiał się serdecznie, aż oczy przymrużył i chwyciwszy moje ręce, trząsł nimi tak, że w stawach coś trzeszczało.

— Jak to dobrze, że panicz przyjechali! Zwierzyny strasznie moc. Aby tylko nabojów wystarczuło *) Dziki som. Ale to jakie, jakem Stanisław, jeszczem takich nie widział. Jeden w drugiego, jak krowy. A zajęców wiela! Ho, ho! Nieprzebranie...

— A strzelał kto do dzików? — pytam zaciekawiony.

— Ni! Bojom sie! Mówiom, że ten wielgi, że to pewnie jaki zły. Kiejś, jeszcze tak roku, gnał za jednym chłopem, to podobnież przemieniał sie w samego lucypera, czy inszego djabła. Ognistom piane z gemby toczuł. To tyn chłop przeżegnał go krzyżem Pańskim, to łon zakwiczał i tela go widział. Od ty pory bojom sie ludzie bez las po nocy chodzić.

Stanęło na tem, że spotkamy się ze strzelbami jeszcze dziś przed zachodem słońca. Punktem zbornym miał być wielki dąb na skraju lasu.

Gdy powróciłem do domu, rozpakowałem walizę i wyjąłem dubeltówkę. Złożyłem ją i powiesiłem na haku, sterczącym ponad łóżkiem. Teraz zabrałem się do przygotowywania nabojów. Otworzyłem skórzane pudło. Zalśniły rzędy łusek. Aż dusza poweselała. Wybrałem z pośród nich cztery. Przez żelatynę widać było czarne, polerowane lofki. Czy która z nich — choć jedna — dotrze do celu? Trzeba jeszcze buty tranem wysmarować, bo inaczej przemokną. Zabrałem się więc do smarowania...

Po południu włożyłem krótki kożuszek, „wbiłem" nogi w buciska, strzelbę na jedno, torbę na drugie ramię i — w pole. Szybkim krokiem ruszyłem ku lasowi. Śnieg pod nogami skrzypiał i co chwila ślizgałem się po zmarzniętej drodze.

Po białem polu, dzielącem mnie od wstęgi drzew, hulał wiatr. Porywał tumany śniegu, unosił je lejami w górę, pomiatał niemi, toczył po ziemi, szarpał badyle kartofliska, sterczące nad bielą, a wreszcie pędził do lasu i wył między gałęziami drzew, miotając niemi na wszystkie strony. Wszedłszy między potężne pnie sosen i nagie brzozy, przysiadłem na pniu napół zwalonego drzewa. Nieopodal rozpierał się dąb, dzielnie stawiając czoło wichrowi i śnieżnym tumanom.

Słońce poczęło chylić się do widnokręgu, gdy ujrzałem na białej przestrzeni przed lasem postać nieco zgarbioną, wolno brnącą wśród zasp ku mnie. Był to Stanisław. Gdy stanął przy mnie, z poufałym uśmiechem odwinął połę kożucha i wyciągnął zardzewiałą dwulufkę. Przy niej nawet moja stara strzelba wyglądała luksusowo.

— Widzi panicz, to moja stara armata — tłomaczył i śmiał się dobrodusznie — jeszcze mój ociec z ni strzylał. Ale jom to trza zawdy wodom świenconom pokropić, zanim si pódzie na dzika.

Oparł dwulufkę o drzewo, poczem dobył z kieszeni małą buteleczkę. Skropił jej zawartością strzelbę i przeżegnawszy się, rzekł:

— Tera, aby tylko byli, już ja ik zdrowych nie puszczem!

Obtarł rękawem nos i uśmiechnął się do mnie:

— No, paniczu, ale tera to już idziem! Słonko ju sie za góre kładzie. A do ty sadzonki to je kawał drogi.

Poszliśmy więc przez las. Brnęliśmy po kolana w sypkim śniegu, potykając się co chwila o ukryte pod nim korniaki. To tu, to tam przecinał nasz szlak trop zająca lub lisa. Wreszcie przybyliśmy na miejsce. Przed nami rozwierał się stromy jar, w głębi którego miały przechodzić dziki.

— Niech tera panicz siądzie na tym pniaku, wedle sosny przy parowie. Ja sy tam stane kale buka, jakby pośli za panicza. A jakby leciał jaki zając, to nie strzylać, żeby dzików nie płoszyć. To mondre chalery!

Odszedł na swe stanowisko. Zapanowała cisza. Właśnie słońce zachodziło za gęstwę drzew. Wiatr nieco ucichł. Niebo poczerwieniało na zachodzie. Na jego tle ostro rysowały się czarne kontury drzew i smukłe gałązki, obmarzłe lodem. Co chwila podmuch wiatru, gdzieś z pola lecący, poruszał niemi lekko, jakby opowiadając im tajemnicze wieści. A one kiwały się z podziwu wielkiego, drżąc czasem lękliwie. Czasami ruch w koronach drzew stawał się silniejszy, a wgłąb lasu szedł pogwar i szum. Między gałęziami unosiły się mgiełki śniegu. Snuły się lekko, kłębiły, wirowały, potrącane lekkim wietrzykiem.

Niebawem purpura zalała całe niebo, a na ziemi z pod krzaków, z jarów i zapadlin, zaczął wypełzać mrok, zacierać kształty i kolory. W górze ustał nawet szept gałązek. Na niebie zapłonęły tysiące gwiazd. Cisza zawładnęła lasem. Tylko gdzieś daleko, daleko pies ujadał zawzięcie, pewnie we wsi,

*) Gwara z pod Zamościa.

która stała przytulona do drzew z drugiej strony boru.

Wszystko zaczynało żyć: pnie zwalonych drzew, małe sosenki i krzaki przybierały niesamowite kształty: Niby żywe istoty lub duchy, zdawały się zbliżać do mnie, jak gdyby chcąc wyznać jakąś straszną tajemnicę, to znów drżąc dawały jakieś znaki rozpaczliwe...

Nagle zobaczyłem, że ciemna sylwetka Stanisława obsunęła się w pulchny śnieg. Jednocześnie dobiegł mych uszu jakiś niewyraźny daleki jeszcze odgłos. Czułem całym zapałem młodego, potężnego serca, że to idą dziki. Przez długi czas próżno wytężałem słuch. Cisza aż kłuła w uszy. Wreszcie głębią parowu przyleciało skrzypienie śniegu, sapanie i odległe pochrząkiwanie.

— Idom! — doszedł mnie stłumiony szept.

Krew uderzyła mi do głowy i serce poczęło walić w piersi, jak szalone. Drżałem. Sucho zrobiło mi się w gardle... Pierwszy raz miałem strzelać do dzików!

Wtem po drugiej stronie parowu, przy dużym krzaku zamajaczyła ciemna plama. Jednocześnie z pod buka trysnęła smuga ognia — jedna, potem druga... Napoły oślepiony ujrzałem w parowie pędzącego zwierza. Rzuciłem strzelbę do ramienia i pociągnąłem za cyngiel: błysk, huk i potem nie wiem skąd i w jaki sposób znowu błysk i szarpnięcie.

— Je, paniczu! Je!

To Stanisław pędził już wgłąb parowu. Rzuciłem się za nim po stromem zboczu. Lecz w tej chwili dzik poderwał się na nogi i skoczył ku najbliższemu prześladowcy. Stanisław runął na ziemię i tarzali się w tumanach śniegu, wśród charczeń i przekleństw. Stałem oniemiały...

— Niech panicz strzyla! — usłyszałem krzyk.

To mnie otrzeźwiło. Nie wiem kiedy naboje znalazły się w lufach, kiedy kurki odciągnąłem, lecz wiem, że skoczyłem ku walczącym i z odległości dwóch kroków palnąłem...

Stanisław podnosi się, otrzepuje ubranie i klnie:

— A to ścierwo, zabić mnie chciał! A to chalera! A rozbójnik! Niech panicz popatrzy, co zrobił z mojom strzelbom, na nic lufy pogion! I kożuch mi rozdar. A chalera, ścierwo zdechłe!

Z rozdartego kożucha wyłaziła wełna białemi kłakami; Stanisław starał się ją wepchnąć z powrotem pod powierzchnię kubraka. Pochylił się wreszcie nad zdobyczą i z miną nieco weselszą rzekł:

— Ale si nawyt poszczęściło! No, no! Będzie miał z piętnaście pudy.



„Odyniec". Z suchorytu J. Kirilenki.

Zabiłem pierwszego dzika! Radość rozpierała mi pierś i głowę. Nie dawała mi słowa przemówić, ale zato kazała ryczeć na całe gardło, żeby przynajmniej o milę rozbrzmiewał mój tryumf. Wyłem, krzyczałem, śmiałem się, płakałem naprzemian. Zmęczony krzykiem, dzikiemi tańcami i wymachiwaniem strzelbą, siadłem wreszcie okrakiem na swej zdobyczy i oddałem się radosnym myślom — myślom, które, chwyciwszy człowieka mocno za serce, podnoszą go chyba pod jasne gwiazdy. Zdawało mi się, że kroczę śmiało po tęczy z podniesionem czołem, wprost do nieba, aby sięgnąć po koronę myśliwych.

WOJCIECH NIKLEWICZ

ECHA ARTYKUŁU „ZŁOM MYŚLIWSKI NA F.O.N."

Artykuł powyższy z Nr. 1 „Łowca Polskiego" b. r. nie pozostał bez echa. Będąc na paru polowaniach, stwierdziłem, że gospodarze przed rozpoczęciem prosili wszystkich myśliwych o zbieranie łusek i oddawanie ich po skończonym miocie czy kotle do worka lub pudła, wożonego w saniach. Propozycja ta spotykała się zawsze z uznaniem, a wielu panów, objaśnionych o dwojakim celu tej zbiórki, wyrażało nawet zdziwienie i żal: „że ja też o tem wcześniej nie pomyślałem". (Niestety za mało myśliwych czytuje dotąd „Łowca Polsk.").

Miło też było popatrzyć, jak w przerwach każdy rzucał do worka swoje łuski, a nawet koledzy-„browningowcy", od których trudno wymagać zbierania łusek, kazali je podnosić chłopcu i oddawać sobie! Z eżektorkami też niedużo było kłopotu — osobiście, posiadając taką broń, przytrzymuję ręką wyskakujące łuski i zbieranie ich nie sprawia mi najmniejszej trudności — trzeba tylko trochę pamięci! Oczywiście nie mówię o sytuacjach, gdzie oddaje się dużo strzałów i gdzie nieraz dwie strzelby się grzeją — w takich jednak wypadkach łuski mogą być zawsze pozbierane przez towarzyszącego nam strzelca lub chłopaka.

Słyszałem też pytania: „dokąd wystrzelone łuski dostarczać?" Otóż na to pytanie narazie odpowiedzi niema — nie będę też tego tematu rozwijał, bo wyczerpał go już p. W. Z. w cytowanym artykule, dodać tylko trzeba, że zbiornicami złomu myśliwskiego niech się zajmą władze centralne i im zostawmy to zmartwienie; my myśliwi i gospodarze polowań zbierajmy i przechowujmy wystrzelone łuski, a o resztę narazie się nie niepokojmy.

Jesteśmy, niestety, już poza głównym, powszechnym sezonem zimowym — rezultaty zbiórki z jednego miesiąca będą narazie pewno dość nikłe, jedno też mam do zarzucenia artykułowi p. W. Z., że... powinien był się ukazać na początku sezonu zimowego! Mam tu na myśli przedewszystkiem wielkie polowania na zachodzie kraju (Poznańskie, Kujawy, Kaliskie), gdzie nieraz padają grube setki a nawet tysiące strzałów i... tyleż łusek w większości wypadków ginie bezpowrotnie!

Niech więc w przyszłym sezonie polowań (o czem „Łowiec Pol." winien jeszcze raz w swoim czasie przypomnieć, najlepiej w formie krótkiego hasła w każdym numerze) każdy gospodarz polowania, każdy myśliwy pamięta o haśle: „złom myśliwski na F. O. N. — ani jedna łuska w ręce kłusowników!"

Do tego wystarczy tylko trochę pamięci i... dobrej woli.

J. S.
(z Podlasia).

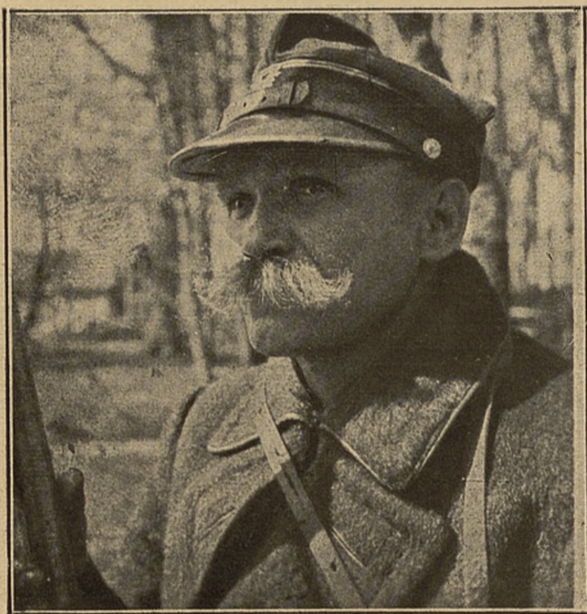
WIEWIÓRKI W MIASTACH

Gorliwa eliminacja kotów na dachach, a raczej w ogrodach i zieleńcach miejskich, dała już więcej, niż dodatnie wyniki.

Lęgi śpiewających ptasząt w parkach i zadrzewieniach udały się r. ub. znakomicie, a ilość drobnych, latających klejnotów powietrznych, znacznie się powiększyła. Od szarych wróbelków roi się poprostu!...

Lecz pozostała jeszcze jedna bolączka w postaci niepomiernie rozrodzonych, zresztą tak miłych, zwinnych wiewiórek.

W czasach powojennych zgrabny ten gryzoń, na skutek wartości swego futerka, uległ prawie kompletnemu wyniszczeniu, lecz nakaz ochrony zrobił swoje. Wiewiórki nanowo ukazały się w naszych lasach. Dziś, kiedy ustawa łowiecka zezwala na strzelanie do nich w ciągu listopada, grudnia, stycznia i lutego, i to jak najsłuszniej, wróciliśmy pod względem ich odstrzału do zupełnie normalnych stosunków.



Podleśniczy z Zawiszcza. Fot. St. Zdan Michajłowicz.

To dotyczy jednak tylko wolnych, szerokich obszarów leśnych. Tam, chociaż też są skargi na pewne szkody, wyrządzane przez wiewiórki, w stosunku szczególnie do jajek jarząbków i innych ptaków łownych, jednakże, wobec szerokiego rozmieszczenia rodu wiewiórczego na znacznych przestrzeniach zadrzewień, szkodliwość ich nie jest jeszcze i nawet być nie może zbyt znaczną.

Dbający o swój zwierzostan hodowca zawsze potrafi zredukować nadmiar ilości tych zwierzątek w przeciągu czterech miesięcy, podczas których ma wolną rękę, do zmniejszania ich stanu w danym rewirze.

Gorzej stoi sprawa ich pobratymców z kategorji kulturalnych, zamieszkujących ogrody i parki miast naszych. Szczególnie odznaczają się wprost bajecznemi ilościami słynne Planty krakowskie i nasze wspaniałe Łazienki królewskie.

Rozumiem najzupełniej, że pełne uroczej gracji zwinne zwierzątka mogą i muszą nawet budzić niemały sentyment wśród miłośników natury dla jej tak ślicznych żywych tworów. Sam będąc, jak każdy rzetelny miłośnik przyrody, zawodowym niemal romantykiem, kruszyłem kopję o małą szkodliwość bocianów, gotów jestem bronić i nasze wiewiórki, ale — przenigdy na małych, ograniczonych szczupłością swych powierzchni miejskich zadrzewionych przestrzeniach. Jednakże zastanowić się wypada nad tem, że i miłość do ptaszyn, do ich śpiewu, czy naiwnego świergotu — bywa niemniej intensywną.

Wiewióreczki kaptują li tylko nasz wzrok zwinnością swych ruchów, niewinnemi minkami, gracją puszysto-ognistych kit, dobrodusznością swych mordeczek i wrodzoną inteligencją.

W dzieciństwie, pamiętam, posiadałem parę oswojonych do rzadkiej miary takich stworzonek! Rozpaczałem poprostu, gdy gdzieś się zaprzepaściły!

Więc dziwić się bynajmniej nie należy, gdy się czyta w „Kurjerze Ilustrowanym Krakowskim" istne dytyramby z powodu fenomenalnej wprost ilości wiewióreczek na plantach tego miasta.

Tylko, że ludzie naogół nie zwykli zastanawiać się nad każdem z zagadnień. Miastowy przyrodnik kocha ptaszki, lubuje się ich śpiewem, estetyką ich kształtów i upierzenia, rozkoszuje się też słusznie widokiem wiewiórek. Jednakże, nie będąc fachowcem w kwestji zachowania równowagi pomiędzy sąsiadującemi zwierzętami, nie może mu przyjść na myśl proste pytanie... „Tak, chwała Bogu, śpiewających ptasząt jest coraz więcej, lecz czy nie byłoby ich w dwójnasób więcej, jeśliby harmonja ilościowa milutkich gryzoniów została zbalansowana redukcją pewnej ich ilości. To z jednej strony, a z drugiej jeśli przyrost rodu wiewiórczego pójdzie dalej, jakiež ów rozrost nadmiaru tego gatunku wywoła fluktuacje liczbowe śród rzeszy ptasiej.

Przyroda wymaga we wszystkiem zrównoważenia. W wolnej przyrodzie znajdują się zawsze równoważące sanitarne czynniki własne, bez pomocy człowieka.

Kunie, czasem liskowi, uda się złapać roztargnione zwierzątko o puszystej kicie, pozatem cała falanga gołębiarzy, krogulców....

Krótko mówiąc, multum jest regulatorów. No i powierzchnia obszarów... A w mieście złem?... Cała niekorzyść zbyt jaskrawej faworyzacji wiewiórek spada na jajka ptasich rzeszy.

Nic nie ujmując małpkom naszych zadrzewień, jednakże myślę, że ptaszki nad niemi zawsze górować będą melodją swych nietylko trelów i koloratury słowiczej, ale nawet wróbelków naiwnych rozhoworem... Daleki jestem od proceduru tępienia. Ponure to słowo zniknąć winno z leksykonu kulturalnego myśliwego hodowcy. Nie proponuję bynajmniej rzezi niewiniątek, nie będąc żadnym Torquemadą, lecz stawiam wniosek konkretny:

Owszem, lubujmy się i cieszmy widokiem zgrabnych wiewióreczek w zieleńcach miastowych, ale, zważywszy ujemny wpływ ich nadmiernej ilości na ptaszostany danego rejonu — stop dalsza ich prosperity. Nie wyniszczając wiewiórkostanów, zręcznie redukujmy je.

Nie na to doczekaliśmy się przyjemności oglądania wesołych pyszczków malutkich istotek, żeby znowu ich się pozbawiać, jednakże zbyt patologiczna sentymenalność i za wielka tolerancja są niemniej karygodne.

W łowiskach i nadleśnictwach myśliwi sami sobie wyśmienicie dadzą radę. W miastach zaś, po gruntownem zbadaniu wiewiórkostanów, należy bardzo dyskretnie nadetatowe sztuki zapomocą flowerków w rannych godzinach usunąć, jak się to z kotami dzieje obecnie!...

Rzucam myśl, w trosce o ptasie rzesze, a nie z żadnych krwiożerczych pobudek, o czem otrzymywałem nawet pisemne uwagi po moim artykule w Łowcu Polskim „Koty na dachach"!

ADAM RZEWUSKI

ŁĄCZMY MIŁE Z PRAKTYCZNEM

Nasz handel zwierzyną możemy postawić na wyższym poziomie jedynie w tym wypadku, jeśli — czy to na rynek wewnętrzny, czy zagraniczny — rzucimy towar dobrze rozwinięty, świeży i w dobrym stanie. Innemi słowy — zwierzyna, jako towar rynkowy, musi być dobrze sortowana, starannie opakowana i szybko dowieziona po dokładnem wychłodnięciu.

Niemałą rolę gra tu pora i jakość odstrzału. Nikogo chyba nie będzie dziwić, że np. rogacz, strzelany w samym początku sezonu, a więc często jeszcze niewyleniały, posiekany loftkami, lub zeszpecony ekspansywną kulą, a przytem niestarannie wypatroszony, nie osiągnie nigdy ceny normalnej, albo wogóle nie będzie pokupny. O eksporcie takiego towaru wogóle niema mowy, ani zagranicę, ani nawet do większych uzdrowisk i miejsc kąpielowych, wymagających jedynie towaru pierwszorzędnego.

Rogacz po zabiciu powinien być zaraz wypatroszony tak, aby przytem nie naruszyć pęcherza i żołądka, oraz kiszki stolcowej. W razie naruszenia kulą żołądka lub kiszek, należy miejsca zanieczyszczone oskrobać nożem (nie zaś wycinać), obmyć świeżą farbę z klatki piersiowej i wytrzeć suchą trawą, ściereczką lub igliwiem. Mycia jamy brzusznej wodą należy się wystrzegać, przyśpiesza to bowiem psucie się mięsa. Po wypatroszeniu wiesza się rogacza na gałęzi za głowę, aby krew mogła dokładnie wyciec, a sierść oczyszcza się z krwi nożem i suchą trawą. W ten sposób oczyszczoną i wykrwawioną sztukę wiąże się w kolanach wszystkich czterech nóg, razem z głową, wciśniętą między przednie nogi, jamę brzuszną zaś, rozkrok i jamę pyskową wypełnia się igliwiem. W domu wiesza się znów sztukę za głowę, usuwa igliwie i rozpiera zadnie nogi, aby otworzyć jamę brzuszną i rozkrok. W takim stanie powinien rogacz wisieć przez 12 godzin w miejscu przewiewnem lub lodowni, poczem jest gotów dla odbiorcy. Na lodzie nie należy rogacza kłaść przed zupełnem wychłodnięciem; sztuka ciepła jeszcze — na lodzie się poci, wilgotnieje i łatwo psuje. Skórę na głowie, po odjęciu parostków, należy zaszyć, a w rozkrok włożyć wiecheć suchej, czystej słomy, nie zaś świeże igliwie. Tak spreparowana sztuka — jest gotowa do dalszego transportu. Nadmieniam, że rynki zagraniczne żądają tylko towaru ponad 15 kg. (po oczyszczeniu), z grzbietem i zadem nieuszkodzonym strzałem. W miesiącach letnich może tu być mowa tylko o transporcie lotniczym, w miesiącach jesiennych możliwy jest kolejowy — pośpieszny.

Z dniem 16 lipca rozpoczyna się odstrzał dzikich kaczek. Ze zwierzyną tą postępować należy, w znaczeniu handlowem, bardzo ostrożnie, ponieważ w lecie psuje się łatwo, dzięki bowiem gęstemu upierzeniu długo wysycha i stygnie. Kaczka jest artykułem wyłącznie wewnętrznego rynku i na eksport, z wyjątkiem chyba krótkiego okresu późnej jesieni, nie warto liczyć.

Największe znaczenie pod względem eksportowym ma — prócz bażanta — kuropatwa. Najlepszym rynkiem jest Francja — lecz tylko dla sztuk powyżej 250 gr, prawidłowo patroszonych. Środkiem transportowym winien być do 20 września samolot — potem pociąg pośpieszny. Kuropatwy oddzielnie zawinięte w jedwabny papier układa się obok siebie w niskich koszykach lub łubiankach, przekładając warstwy watą drzewną albo czystą, suchą słomą. Każdy koszyk musi zawierać tę samą ilość kuropatw i to oddzielnie starych, oddzielnie młodych. Cały transport nie może liczyć więcej nad 30% starek. Kuropatwy transportowe należy zaraz po polowaniu wypatroszyć w domu — po 12 godzinnem wiszeniu w chłodnem miejscu przesortować, zapakować w wyżej podany sposób i samochodem odwieźć na lotnisko. Towar znajdzie się wtedy w halach targowych Paryża w ca 24 godziny po zabiciu i osiąga najlepszą cenę.



Naganka wychodzi... Fot. W. Makowski.

Zwierzyną — w znaczeniu handlowem — najważniejszą jest bażant. Przygotowanie do wysyłki jest w ogólnych zarysach takie same jak kuropatw—z tą jedynie różnicą, że patroszy się bażanta zaraz po polowaniu — tylko do końca listopada. W grudniu, gdy obrośnie tłuszczem, ma bażant wnętrzności bardzo delikatne, rozrywające się przy patroszeniu, zabieg ten więc zrobiłby więcej złego, niż dobrego. Wartość bażanta leży nietylko w jego mięsie, lecz i w upierzeniu, a zwłaszcza ogonie; to też handlowy, głównie zaś eksportowy bażant powinien mieć pióra pięknie wygładzone, a ogon prosty. Pakuje się bażanty tak, jak kuropatwy — po 20 do 25 sztuk w dwóch warstwach, przełożonych suchą słomą, w kosze tej wielkości, aby nie zaginać ogonów. Każda sztuka powinna być osobno owinięta jedwabnym papierem. Że ten sposób pakowania nie jest kaprysem eksporterów — stwierdza fakt, że przy transporcie nadeszłym do Francji z podwiniętemi ogonami — strącono eksporterowi po 0.50—1.00 fr. za sztukę. Oczywiście pierze i ogon wyrównać i wygładzić można tylko przed wychłodnięciem bażanta. Ceny bażantów, czy to miejscowe, czy wywozowe, częstokroć nie pokrywają kosztów produkcji, tembardziej, że wielkie polowania odbywają się głównie w listopadzie, podczas gdy największy popyt zagranicą przypada na drugą połowę grudnia.

Zając, jako artykuł handlowy, powinien być przedewszystkiem zupełnie wyrośnięty, czysty i nierozbity. To wszystko zależy od myśliwego, dokładnie zaś mówiąc — od jego łowieckiej kultury. W samym zaś handlu zającami życzyćby sobie należało pewnej małej nowości: sprzedaży w handlach delikatesów poszczególnych części zająca, a więc karku z przodkiem, combra i zadnich skoków bez skórki. Jest nadzieja, że to podniosłoby spożycie, a tem samem i cenę rynkową.

Zwierzyna gruba — jeleń i dzik — jest mało pokupna, a jako artykuł wywozu — nie wchodzi wcale w rachubę. Przypuszczalnie mogłaby znaleźć szersze zastosowanie w formie konserw, jako np. gulasz lub ragout, lecz jak dotychczas, nikt o tem nie pomyślał.

Na zakończenie zwracam się z apelem do naszych myśliwych, by — polując — nie zapomnieli o tem, że ich szlachetna i miła zabawa da się w pewnej mierze przetłomaczyć na więcej może prozaiczny, lecz zato poszanowania godny język: zwiększenia wartości ubitej zwierzyny, zwiększenia obrotu gospodarczego, podniesienia finansowej wartości łowiectwa, a przez to zmuszenia społeczeństwa do darzenia łowiectwa większym szacunkiem.

Praktycznie da się to ująć w kilka dezyderatów:

1. Nie strzelajmy do pióra za blisko, ani za grubym śrutem — zwierzyna trafi do konsumenta niezmasakrowana, ładnie wyglądająca, apetyczna — i cenniejsza.

2. Nie rzucajmy zabitego pióra na ziemię (np. naszemu pomocnikowi z trokami); w miejscu, w którem kura lub bażant uderzy o ziemię, pierze i skóra odstanie od mięsa i zwierzyna łatwiej się psuje.

3. Nie zaparzajmy masy zabitych kuropatw w siatkach, nie róbmy z nich miazgi, łatwo się psującej i ohydnie wyglądającej optycznie, co zraża i kupca i spożywcę.

4. Nie pozwalajmy naganiaczom wlec po ziemi zająca. Okrwawiony i umazany błotem — budzi odrazę — zamiast apetytu spożywcy, a tem samem obniża znacznie swą cenę; czysty, suchy i otarty z farby będzie optycznym, pokupnym i droższym.

WŁ. KARNKOWSKI.

APEL HODOWLANY

W zagadnieniach hodowli rasowego psa myśliwskiego na pierwszy plan wysuwa się kwestja jego zdrowotności i jest to, według mnie, sprawa paląca.

Będąc wielkim amatorem psa myśliwskiego i mając z nim ciągle do czynienia, w ostatnich zwłaszcza czasach, obserwuję zastraszający i ciągle pogarszający się stan zdrowotności psów rasowych, a nawet skłonny byłbym twierdzić na mocy znanych mi faktów, że im pies rasowszy, tem słabszy i mniej odporny.

Znam osobiście całe szeregi wypadków, że ginęły piękne okazy najrasowszych psów myśliwskich i to psów hodowanych przez amatorów w idealnej opiece i w warunkach wybitnie zdrowotnych, bo na wsi, gdzie psu nie brakowało słońca, ruchu i powietrza. Powyższe znane mi wypadki, utraty pięknych i miłych towarzyszów polowań i domowników, nasuwają myśl, że w tych warunkach sprawa jest poważniejszą i dotyczy zdrowotności na tle degeneracji.

Tak ujęte zagadnienie upoważnia do wołania na alarm do fachowców, więc lekarzy weterynarji i hodowców, którzy swojem znawstwem, amatorstwem i praktyką winni znaleźć drogi poprawy. Może po za zwykłą hygjeną i opieką, poza silniejszem hartowaniem i surowszym trybem życia, sięgnąć trzebaby głębiej, może walka z niewątpliwą degeneracją będzie musiała wysunąć kwestję odświeżenia krwi — najróżniejszemi drogami.

Że zagadnienie jest palącem i wymaga reakcji, dowodem jest, że po za skromnemi mojemi uwagami i obserwacją bolesnych faktów z życia, Międzynarodowy Kongres Kynologiczny niedarmo wysuwa zagadnienia walki z nosówką, dziedziczności, czy żywienia psów. Widocznie zagadnienie chorób, degeneracji i małej odporności psów rasowych wybiega poza ramy hodowli krajowej, a jest zjawiskiem powszechnem.

Mam nadzieję, że mój apel i tych parę słów wywoła dyskusję i że nasza najwyższa instancja w tej materji, więc Międzyklubowy Komitet Kynologiczny znajdzie drogę poprawy i spopularyzuje ją wśród amatorów.

BOLESŁAW JAKUBOWSKI.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DO PP. ŁOWCZYCH POWIATOWYCH P. Z. Ł.

W dniu 6 października 1937 r. rozesłaliśmy pod adresem PP. Łowczych Powiatowych P. Z. Ł. okólnik, jako dopełnienie odezwy referatu łowieckiego Ligi Popierania Turystyki oraz artykułu p. t. „Jeszcze w sprawie turystyki myśliwskiej", zamieszczonych w Nr. 26 „Łow. Pol." z r. 1937.

Do powyższego okólnika dołączyliśmy odezwę Ligi Popierania Turystyki do P.P. właścicieli terenów łowieckich oraz odpowiednie kwestjonarjusze, w związku z akcją referatu łowieckiego L. P. T., dotyczącą zebrania danych o terenach, nadających się do organizowania wypraw myśliwskich dla turystów łowieckich zagranicznych i krajowych.

Ponieważ dotychczas referat łowiecki L. P. T. otrzymał zaledwie ca 90 odpowiedzi właścicieli łowisk na rozesłane odezwy i kwestjonarjusze, przyczem niewielu PP. Łowczych Powiatowych podało referatowi swoje uwagi w tej sprawie oraz dodatkowe adresy osób, do których, ich zdaniem, warto byłoby zwracać się o zgłaszanie swych terenów w wymienionych celach — przypominając tę sprawę w łączności ze zbliżającym się sezonem polowań wiosennych (marzec—maj) i następującym po nich bezpośrednio odstrzałem rogaczy od 16 maja wzgl. 1 czerwca — prosimy PP. Łowczych Powiatowych o gorętsze zajęcie się powyższą akcją, którą w całej rozciągłości popieramy.

Adres referatu łowieckiego Ligi Popierania Turystyki jest: Warszawa, Mokotowska 61.

KOMITET WYKONAWCZY

Z WALNEGO ZGROMADZENIA WARSZAWSKIEJ WOJEWÓDZKIEJ RADY ŁOWIECKIEJ.

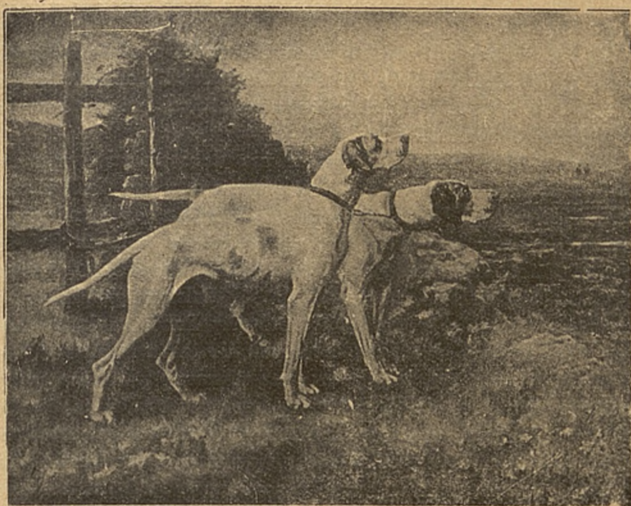
W dniu 13 ub. m. odbyło się w Warszawie przy udziale 60-ciu delegatów Walnych Zgromadzeń Powiatowych, Wojewódzkie Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego, na którem dokonano wyboru władz Oddziału Wojewódzkiego.

W skład Warszawskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej weszli P.P.:

Bohdan Gędziorowski — jako Prezes, Marjan Mickiewicz i Płk. Witold Tyszewicz — jako Wiceprezesi, oraz członkowie — Tadeusz Abramowicz, Antoni Bądzyński, Stanisław Hahn, Zbigniew Kowalski, Tadeusz Lilpop, Płk. Leon Strzelecki, Bronisław Szybalski, Kazimierz Szyryński-Gałka, Zbigniew Tadeusz Zabłocki i Dr. Józef Żenczykowski.

Do Komisji Rewizyjnej Oddziału wybrani zostali P.P.:

na członków — Kazimierz Kamieński, Zygmunt Kobielski i Jan Mieczysław Stypiński; na zastępców — Roman Klawe i Wacław Wattson.



Z MIĘDZYKLUBOWEGO KOMITETU KYNOLOGICZNEGO

Lista Sędziów na wystawach, próbach i konkursach psów rasowych, ustalonych na 1.I 1938 r.

1. *Antoszewski Józef* — Warszawa, Puławska 107.
   P r ó b y — wyżły ras angielskich.
2. *Bernakiewicz Michał* — Toruń, Sienkiewicza 10.
   P r ó b y — wyżły ras niemieckich.
3. *Bielawski Marjan* — Warszawa, Koszykowa 30.
   P r ó b y — wyżły ras angielskich.
   W y s t a w y — pointery.
4. *Błocki Stefan* — Warszawa, Olesińska 5.
   P r ó b y — psy służbowe.
   W y s t a w y — airedale-terriery, buldogi ang., boksery, dogi, owczarki niemieckie, pudle, S. Bernardy.
5. *Celichowski Stanisław* — Poznań, Półwiejska 2.
   P r ó b y — wyżły ras niemieckich.
6. *Czerski Stanisław* — Warszawa, Kopernika 37.
   P r ó b y — wyżły ras angielskich.
   W y s t a w y — pointery.
7. *Dabiński Florjan* — Toruń, Klonowicza 38 m. 5.
   P r ó b y — wyżły niemieckie, spaniele.
   W y s t a w y — airedale-terriery, boksery, dobermany, fox-terriery, owczarki niem., wyżły niemieckie.
8. *Dutkiewicz Norbert* — Kamienica, poczta Gostyczyń, pow. Tuchola.
   P r ó b y — wyżły ras niemieckich.
9. *Dylewski Jerzy* — Warszawa, Nowy Świat 35.
   P r ó b y — wyżły ras angielskich i niemieckich.
10. *Fitz Tadeusz* — Warszawa, Nowy Świat 67 Kom. Gł. P. P.
    P r ó b y — psy służbowe.
    W y s t a w y — boksery, owczarki niemieckie.
11. *Garczyński Walenty* — (przewodniczący Kol. Sędziowskiego) — Warszawa, Kredytowa 18.
    P r ó b y — wyżły ras angielskich i niemieckich.
12. *Grimm Aloizy* —Warszawa, Nowy Świat 67 Kom. Gł. P. P.
    P r ó b y — psy służbowe.
    W y s t a w y — owczarki niemieckie.
13. *Grymiński Ignacy* — Warszawa, Al. Jerozolimskie 79.
    P r ó b y — wyżły ras angielskich.
14. *Jurkowski Marjan* — Rawa Ruska. Szkoła Tresury Psów.
    P r ó b y — psy służbowe.
    W y s t a w y — owczarki niemieckie.
15. *Kamieński Kazimierz* — Warszawa, Nowy Świat 35.
    P r ó b y — wyżły ras angielskich.
16. *Kazimierczak Roman* — Inowrocław, ul. Bratnia.
    P r ó b y — wyżły ras niemieckich.
17. *Komierowski Tomasz* — Komierowo, p. Przepałkowo, pow. Sępolno.
    P r ó b y — wyżły ras niemieckich.
18. *Knothe Herman* — Warszawa, Piusa 11.
    P r ó b y — wyżły ras angielskich i niemieckich.
19. *Hr. Kwilecki Dobiesław* — Kwilcz, pow. Międzychód.
    P r ó b y — wyżły ras niemieckich.
20. *Łuczkowski Józef* — Poznań, Ogrodowa 4.
    P r ó b y — wyżły ras niemieckich.
21. *Łukowicz Jan Dr.* — Chojnice, Dworcowa 36.
    P r ó b y — wyżły ras niemieckich.
22. *Marchlewski Teodor* — Kraków, Mickiewicza 13.
    P r ó b y — wyżły ras angielskich i niemieckich.
    W y s t a w y — airedale-terriery, fox-terriery, jamniki, spaniele.
23. *Mejer Tadeusz* — Poznań, Wyspiańskiego 10.
    P r ó b y — wyżły ras niemieckich.
24. *Metzig Tadeusz* — Poznań, Jasna 14.
    P r ó b y — wyżły ras niemieckich.
25. *Bar. Möllendorf Willamowitz Hugo* — Kobylniki, pod Kruszwicą.
    P r ó b y — wyżły ras niemieckich.
26. *Ossowski Leon* — Toruń, Mickiewicza 9.
    P r ó b y — wyżły ras niemieckich.
27. *Podkoliński Jan* — Janowice, pow. Mogilno.
    P r ó b y — wyżły ras niemieckich.
28. *Prusza Alojzy* — Krojanty, Pomorze.
    P r ó b y — wyżły ras niemieckich.
29. *Przybyła Walenty* — Inowrocław, ul. Kr. Jadwigi 10.
    P r ó b y — wyżły ras niemieckich.
30. *Przychodźko Bazyli* — Warszawa, Kryniczna 1.
    P r ó b y — wyżły ras angielskich i niemieckich.
    W y s t a w y — wyżły ras angielskich i niemieckich oraz charty.
31. *Robel Jan* — Kraków, ul. Św. Filipa 7/7.
    P r ó b y — wyżły ras angielskich i niemieckich.
32. *Śliwiński Andrzej* — Warszawa, Wiejska 10a.
    P r ó b y — wyżły ras angielskich i niemieckich.
33. *Soboczyński Feliks* — Zbiczno, pow. Brodnica.
    P r ó b y — wyżły ras niemieckich.
34. *Stachiewicz Sylwester* — Warszawa, Nowy Świat 57/24.
    W y s t a w y — buldogi francuskie.
35. *Stetkiewicz Olgierd* — Białystok, Świętojańska 22.
    P r ó b y — wyżły ras angielskich.
36. *Szuman Jerzy* — Poznań, Niegolewskiego 102.
    P r ó b y — wyżły ras niemieckich.
37. *Trybulski Maurycy* — Warszawa, Kopernika 30.
    W y s t a w y — owczarki polskie, terriery i psy pokojowe.
38. *Wattson Wacław* — Warszawa, Trębacka 2.
    P r ó b y — wyżły ras angielskich.
39. *Wodziński Jarema* — Warszawa, Podchorążych 65.
    P r ó b y — wyżły ras angielskich i niemieckich.
    W y s t a w y — wyżły ras angielskich i niemieckich.
40. *Zienkowski Jan* — Nowe Miasto n/Pilicą.
    P r ó b y — wyżły ras angielskich i niemieckich.
41. *Ziółkowski Józef* — Poznań, Piekary 5 m. 5.
    P r ó b y — wyżły ras niemieckich.
42. *Vostrakowa Zofja* — Gniezno, Rzeźnicka.
    W y s t a w y — buldogi francuskie, pekińczyki.

PROSIMY P. P. PRENUMERATORÓW, KTÓRZY NIE KOMPLETUJĄ ROCZNIKÓW, O ŁASKAWE NADSYŁANIE NA KOSZT NASZEJ ADMINISTRACJI Nr. 1 „ŁOWCA POLSKIEGO" Z R. B.



T a d e u s z M a l i c k i: *„Niedobitki"*, Kraków 1938, osobne odbicie z XV tomu „Wierchów", rocznika Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego; str. 35.

Niewielka ta broszurka jest zbiorem legend, gawęd u ogniska, historji wyjętych z życia dawnych wolnych „polowacy" z pośród górali tatrzańskich, lub już z późniejszego ich rzemiosła kłusowniczego, kiedy swoboda myśliwska przestała być ich udziałem.

W legendach tych i gawędach przewija się wiele dramatów duszy, wiele tragedyj, oglądanych jedynie przez wirchy górskie, a z niemi tętni olbrzymia sława tych „czujnych, nieuchwytnych, niewyślakowanych orłów", którzy narażali życie dla sławy i z wielkiej pasji łowieckiej, wznieconej może czasem także przez głód i nędzę, wśród żywiołowej przyrody, gdzie istnieć mógł tylko charakter twardy, nieugięty, zawzięty...

Boć przedewszystkiem żądza sławy, rozgłosu od hali do hali, poprzez grzbiety i wirchy, oddawała tych śmiałków na służbę zbójnictwa lub polowaczki.

Ta żądza sławy, ta moc ducha i ciała, ta nieugiętość w trudzie i najgorszych warunkach samowystarczalności na lichej, płytkiej glebie, rodzącej zaledwie najlichszy owies, i przy niejakich korzyściach ze stad pasterskich — stworzyła swego czasu niezwykłe, podziwu godne typy, z których pozostały z biegiem lat niedobitki, a dziś już tylko opowieści przy ogniskach o nich i o ich wyczynach.

Tych opowieści znajdujemy w zbiorku Malickiego dziesięć, poprzedzonych wstępem, niewolnym od smętku i żalu za tem uroczem pięknem, co było — minęło i — nie wróci.

Bo: „Zmienia się i przeistacza niemal z roku na rok górski świat, coraz bezwzględniej, coraz łapczywiej wciska się w jego serce aferzysta, idący już od początku niemal świata tropami marzycieli, którzy, otwarłszy braci własnej serce gór, nie umieli zatrzasnąć wrót pospolitości, idącej, jak Smętek, ich tropami".

Malicki pisze ten wstęp pięknym literackim językiem, czuły niezwykle na piękno górskiej przyrody i jej mieszkańców, na sławę tych miejsc i tych ludzi, wyrozumiały na ich „grzechy", które wraz z żądzą sławy i panowania wśród dzikich przestrzeni puszcz górskich, zrodziły się z twardych warunków bytowania od chwili, gdy dobrowolnie szli na „ślebodę", na pionierkę w tych okrainach pierwsi przodkowie dzisiejszego ludu góralskiego. Ludu, który posiadł swe osobne oblicze duchowe, ma swą historję, swoje tradycje i... urok w oczach tych, którzy z nim obcują.

Kończy Malicki swój wstęp w ten sposób: „Ile to lat, a przez te lata, które mi na tej ziemi minęły, ileż nocy przegwarzyło się przy szatrach, przy muzykach, po szałasach, w schroniskach z tymi, których ukochało moje serce. Ile gawęd, ile tragedji przewinęło się we wspomnieniach, niektóre się notowało, niektóre wrosły w pamięć, jak kamień. Niektórych i powtórzyć nie można: są za świeże i za żywe".

Opowieści swe pisze Malicki oczywiście gwarą góralską, którą włada świetnie, opanował znakomicie. Przewija się przez nie niejeden barwny obraz spotkania i walki z niedźwiedziem, niejeden epizod zdobycia capa czy rogacza, niejedno zwarcie się wręcz bohaterów z ich prześladowcami. A wszystko owiewa wielkie ukochanie przyrody rasowego myśliwego.

WŁ. Z.

*

W poszukiwaniach moich po księgarniach i antykwarniach poznańskich za drukami, mającemi jakikolwiek związek z myślistwem, udało mi się raz trafić w księgarni, którą o to najmniej mogłem podejrzewać, bo wówczas prawie wyłącznie na dział religijny nastawionej, na druk, a właściwie może bezmała cały jego nakład, który mnie bardzo zainteresował, a któremu mam zamiar poświęcić parę słów i to tembardziej, że, o ile się nie mylę, nie był on znany. Spoczywał widocznie snem sprawiedliwych, może go autor, który, zdaje się, wydał go własnym sumptem, nie wykupił z rąk księgarza, a może nikt nie kwapił się z kupnem.

Ta bez żadnej pretensji wydana broszurka o 19-tu stronach nosi tytuł *„Polowanie w górach Karpackich"* opisane przez K a j e t a n a R..... Wyszła w Poznaniu, czcionkami i w komisie Wojciecha Simona 1879 r.

Poszukiwania moje za autorem nie dały żadnego wyniku. Ani w spisach tutejszych bibljotek nie znalazłem śladów, ani też wypytywania u ludzi starszych, pamiętających rok wydania, nie dały rezultatu. Wnioskuję tedy z tego, że był to poeta-amator, który może ograniczył się do tego jednego druku, a sparzywszy się na nim, dał spokój dalszym publikacjom. Pewnem jest tylko to, że był to rodowity Poznańczyk, bo nietylko w Poznaniu rzecz swą drukował, ale także i tem swe pochodzenie zaznaczył, że wysuwa na pierwszy plan wieczerzy potrawę, która po dzień dzisiejszy, może tylko już w kuchni skromnych ludzi, poczesne zajmuje w Poznańskiem miejsce, a mianowicie zrazy z cebulą. Woźnicy daje typowe nazwisko poznańskie Marciniaka, jamnika zaś zwie Bergmanem, co świadczy o wpływie niemieckim, nie odpowiadającym czasowi i miejscu akcji poematu.

Autor, tworząc ten swój poemat opisowy, miał przed oczami, jak to widać ze wszystkiego, Pana Tadeusza, jako prototyp, ale rzecz jasna — gdzie kuchcie do patyny.

Akcja rozgrywa się w domu i kniei jakiegoś pana Żulińskiego, jesienią roku 1806. Można nawet twierdzić, że było to w listopadzie i to wczesnym, bo: „Już się jesień zaczęła, mgła ziemię okrywa" a dalej: „Napoleon w Berlinie, wnet będzie w Warszawie", wiadomo zaś, że Napoleon 19-go listopada 1806 r. przyjął w Berlinie deputację polską, 27 listopada stanął w Poznaniu, a w nocy z 18-tego na 19-tego grudnia w Warszawie, że zaś o ten czas chodzi autorowi, tego dowodem jest i to, że wspomina o niedawnej klęsce Austrjaków pod Austerlitz (2.12.1805).

Dlaczego uplasował akcję w Karpatach, tego trudno dociec, polowanie bowiem niczem nie wskazuje, że musiało się odbyć w Karpatach, chyba autorowi chodziło o roztoczenie przed czytelnikiem masy grubego zwierza i uzasadnienie jego egzystencji właśnie Karpatami, naszą ostoją grubego zwierza.

Pominę dwanaście stron poświęconych towarzyskiej stronie łowów, bo oczywiście nie mogły się one odbyć zgodnie z polską gościnnością inaczej, jak tylko z obfitą wieczerzą w wilję łowów, z porządnem śniadaniem przed polowaniem, a zabawą z damami i wspaniałą kolacją po łowach, co wszystko naturalnie zakrapiano godnie, nie wylewając za kołnierz.

Te opary alkoholowe podziałały widocznie na fantazję autora, polowanie bowiem odbywa się arcytowarzysko, myśliwi zachowują się raczej wesoło, niż po łowiecku, a mimo to poczciwa zwierzyna zawsze przyjdzie pod lufę, napędzona przez Dogonia, Dolota, Śpiewkę i Zaskocza, albo samorzutnie, aby zrobić myśliwym przyjemność. I to w dodatku w niebywałej rozmaitości. Znajdujemy opis ubicia siedzącego zająca, lisa, wilka i wilczycy, rogacza, dwóch cietrzewi, dwóch danieli, odyńca, zwanego przez autora „ordyńcem" i „ordyniem", jelenia i wkońcu dwóch niedźwiedzi. A gdy poecie brak rymu do tura, to bez wielu skrupułów kładzie na nią... tura.

Jako drugą część łowów, podaje nam autor opis polowania z jamnikami, Bergmanem i Grzebieluchą. Coś w rodzaju popisu, ale to fenomenalnego, bo nie mniej nie więcej, tylko Bergman wyciąga zaraz z jamy lisa, którego tam załatwił, a Grzebielucha, aby nie pozostać za nim w tyle, wywleka martwego borsuka, zaś poeta wywodzi:

„Otóż teraz łaskawi Panowie widzicie,
Że każdemu w kotlinie odbierają życie,
Kto ma tak dobre pieski, zawsze z nich korzysta,
Nie dałbym z nich żadnego za dukatów trzysta".

Przyznaję autorowi rację, ale chciałbym raz w życiu zobaczyć taką Grzebieluchę, któraby tak w mig zagryzła jaźwca, a potem go z jamy wyciągnęła — ale od czego jest *licentia poetica*, z której zresztą autor robi obficie użytek.

Mimo wszystkie braki, jak na dzisiejsze wymagania, warto zapoznać się z tą poemą każdemu, kogo interesują dawniejsze czasy i ich literatura, a wdzięczny byłbym temu, ktoby mi dał jakieś wyjaśnienie co do jej autora.

S. M.

*

Jak wyglądały niektóre wskazówki „łowieckie" przed 100 laty.

W okresie lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia nie patrzano na łowiectwo z takiego punktu widzenia, jak to dziś ma miejsce w zapatrywaniach, można rzec, powszechnych u narodów świata, zdających sobie sprawę z tego, że masowe wyniszczenie zwierzyny odbić się kiedyś musi ujemnie na zwierzostanach i że z tego powodu pierwszym warunkiem utrzymania na właściwym poziomie naturalnych bogactw naszych kniej, pól i wód jest ich racjonalne użytkowanie, uwarunkowane pieczołowitą ochroną i zabiegami hodowlanemi w granicach naszej możliwości.

W owe czasy zwierzyna uważana była za samorodny dar przyrody i za bezgraniczną własność jednostek na terenie, którym była związana, z racji zasiedlania go, z właścicielem łowiska, który mógł dowolnie czerpać z niej wszelkie korzyści, nic albo mało wzamian dając ku utrwaleniu ich źródła głównego.

„Przepis" na masowe zdobywanie ptactwa zapomocą upajania go ziarnem spirytusowem, pochodzący z połowy ubiegłego stulecia, nie wymaga dalszych komentarzy.

Dziś zwierzostany tak dalece uważane są przez ideowo pojmowany całokształt łowiectwa i związane z niem prawodawstwo różnych narodów za ogólną własność społeczną, że nawet w wypadkach występowania masowych szkód w rolnictwie i leśnictwie, robionych przez zbyt rozmnożone w pewnych łowiskach niektóre gatunki zwierzyny, przedsiębrane są środki bardziej humanitarne, niż to było dawniej w zwyczaju (trutki, doły, ostrokoły i t. d.), celem zapobieżenia szkodom, lub zmniejszenia ich rozmiarów. Między innemi stosowane są także ustawowo odszkodowania ze strony właścicieli ostoi zwierzyny szkodnej, zmuszające ich do odpowiedniego regulowania odstrzałem nadmiernego nasycenia danego rodzaju zwierzyny jakiegoś łowiska, lecz, zgodnie z ideą główną łowiectwa — utrzymania bogactw zwierzostanów dla następnych pokoleń — jednocześnie tak warunkami regulowane, by pozostawała możność zajmowania się hodowlą zwierzostanów i zachęcała do ich ochrony. Być może, iż w tym ostatnim kierunku w Polsce zbyt wiele ma jeszcze do powiedzenia demagogja, zasłaniająca oczy na wytyczne idee łowiectwa współczesnego i realne skutki ich stosowania, o szerokiem znaczeniu ekonomicznem dla gospodarki narodowej, lecz naogół dla łowiectwa czasy poszły lepsze, niewątpliwie może i ten słaby moment zostanie odpowiednio rozwiązany.

Jeśli o tem wspominam w tej chwili, czynię to dlatego, by na tym odcinku zrobić porównanie z warunkami z przed stu lat, kiedy wprawdzie nie zwracano jeszcze uwagi na ustawowe ochranianie zwierzostanów w takim jak dziś stopniu, przeciwnie, uważano za słuszne prawo użytkowanie zwierzyny, we wszelki możliwy sposób zdobywanej, to jednak czyniono— nieraz zbyt może naiwne i naukowe nieusprawiedliwione — wysiłki ku zabezpieczeniu płodów od szkód, oddalając wszelką powstać mogącą myśl o odszkodowaniach. Wszakże zwierzyna była wówczas „boską"...

Te wszystkie spostrzeżenia i myśli nasunęły mi się niedawno, gdy, będąc na t. zw. „domowem" polowaniu u moich krewnych w Przegalinach ziemi radzyńskiej (woj. lubelskie), natknąłem się tam na strychu (tak, panie kapitanie Kobylański— konkurencja!) na skrzynię z rupieciami, z której „wykopałem" ciekawy tom z r. 1844!

Tytuł tego wydawnictwa, pisanego coś jakby w rodzaju książki kucharskiej, jakkolwiek bez żadnego planu i podziału na działy czy rozdziały, zawierającego około 200 stron druku, brzmi jak następuje:

Objawione Tajemnice i Przepisy
rozmaitych doświadczonych użytków
w gospodarstwie wiejskiem, domowem, w sztukach, rzemiosłach i t. d.
z uwagą na wygodę i oszczędność w różnych potrzebach życia.
Warszawa.
Nakładem S. H. Merzbacha, księgarza
przy ulicy Miodowej Nr. 486.
1844.
Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

Pod pozycjami 1, 2, 38, 39 i 40 znalazłem tam następujące przepisy i wskazówki, dotyczące zdobywania zwierzyny, jak również zabezpieczenia się przed szkodami, przez nią czynionemi, a przeplatane przepisami z najróżnorodniejszych dziedzin (jak wskazuje tytuł), których w tym dziwnym tomie jest bardzo, bardzo wiele. Niektóre kazały się nam uśmiać setnie. Tu jednak mogę podać ku uciesze myśliwych, a także bukinistów, te jedynie, które dotyczą „spraw łowieckich".

Oto one, kolejno przepisane:

„1. Ważne odkrycie dla myśliwych: przynęcić zające lub inną zwierzynę w upodobane miejsce, aby je można było łatwo chwytać lub strzelać.

Chcąc osiągnąć ten skutek, trzeba tylko, gdy pola śniegiem okryte zamarzną, porozkładać, w obranych miejscach, małe wiązeczki pietruszki, która jest łakotką dla zająców; zapach tej rośliny wabić je będzie z całej okolicy.

Równie skutecznie będzie porozkładać w tych miejscach, do których zechce się zwabić zające, małe kulki zagniecione z chleba, miałko usiekanej pietruszki i utłuczonego nasienia kopru włoskiego; schodzić się będą do nich zewsząd zające.

2. Sprowadzić zwierzynę z obszernego lasu w mały jego obręb.

Ubiwszy sztukę płodnej czyli kotnej zwierzyny np. zająca, sarnę i t. p. wydobyć z niej płód i rozgotować go w kociołku, w wodzie, na gęstą polewkę, podobnie jak na zrobienie buljonu. Potem, wziąwszy po parę garcy ususzonych w powietrzu korzonków lubczyka (Ligustinum levisticum) i biedrzeńca (Pimpinella), usiekać je drobno, a następnie utłuc miałko w stępie, dodać do tego parę garcy miałko tłuczonego glinianego gruzu ze starego pieca, przylać lakę z beczki śledzi; dobrze to wszystko razem pomięszawszy, wsypać dwie kwarty miałkiej soli, wygnieść i przerobić z powyższą polewką na obrzednie ciasto, którem smarować pnie drzew w lesie na strzał od siebie odległe. Z całego lasu gromadzić się będzie do tych drzew zwierzyna.

38. Sztuka, za pomocą której łapać można rękoma ryby i ptaki.

I. Miesza się z chlebowem ciastem nasienie bulku pospolitego (Hyosciamus niger) na miałki proszek utarte, robią z tego małe kulki i w wodę wrzucają. Chciwie jedzą je ryby, ale prędko niemi odurzone, pływają do góry brzuchem odwrócone i rękami chwytać się dają.

II. Rozciera się kamfora z kilku kroplami spirytusu w moździerzyku, mięsza się to z drugą taką ilością bobrowego stroju i dodawszy przyzwoitą ilość sadła robi się maść. Tą maścią posmarowawszy nogi i ręce, gdy się wejdzie w wodę zbiorą się do nich tłumnie ryby, które rękami chwytać będzie można.

III. Nasmarowawszy tą maścią kawałek mięsa i w wodzie je zawiesiwszy, łatwo będzie można łapać zgromadzające się do niego ryby.

IV. Zarobiwszy mąkę spirytusem na ciasto i rzucając kulki z niego w wodę, znęci się ryby, kóre połknionemi kulkami tak się odurzą, iż rękoma brać się dadzą.

V. Gdy się kawałek śmierdzącego w woreczek lub koszyk włożonego mięsa spuści w wodę, zbierają się do niego ryby. Wtedy rzucają się w wodę kulki zagniecione ze zgniłego sera z kulczybą (Belladona) i spirytusem, któremi połknionemi tak się ryby odurzą i posną, iż brać je będzie można rękami.

VI. Rzucając ptakom w tęgim spirytusie namoczone ulubione im ziarna, tak je temi połknionemi odurzy się, iż uciekać nie będą mogły.

VII. Tym sposobem zagrzać można koguty do walki, a kokoszki zniewolić do spokojnego siedzenia na jajach.

39. Kuny i lisy odstraszyć od gołębi i kur.

Ugotowawszy wieprzowe kości z zielem szałwii, położyć je przy wnijściu do kurników i gołębników, a nigdy nie wejdą tam te szkodniki. Zawiesiwszy także w gołębniku i kurniku kawałek wilczej skóry, wzbroni to kunom i lisom przystępu.

Gdy się kury i gołębie napoi wodą, w której mókł stokfisz, taki będą do nich miały wstręt kuny i lisy, iż ich nie tkną ani się zbliżą do kurnika i gołębnika, gdy się wnijścia do nich tą wodą pokropią.

40. Zabezpieczyć pola od szkód zrządzonych przez leśną zwierzynę.

Wiele naturalnych zjawisk, przypisywanych zwykle sympatyi lub antypatyi pewnych ciał, tłumaczone są teraz przez badaczów natury, na zasadzie wrodzonych tymże ciałom wła-

sności i owemi wyrazami sympatyja i antypatyja, coś tajemniczego w sobie zawierającemi, najwłaściwiej oznaczyć można przez wrodzony popęd zwierząt. Historya naturalna daje nam liczne jego przykłady; np. jeleń ma wrodzony wstręt i obawę węża. Zwierzęta unikają częstokroć ciał wydających pewną woń, a którą one czują zdaleka, będąc mocnym obdarzone węchem.

Dla wstrzymania leśnych zwierząt od odwiedzania pól i zrządzania szkód w zasiewach dosyć będzie suchy psi wyrzut utrzeć z piaskiem i rozsypać go na około pola; tak oznaczonej granicy nie przekroczy żadne zwierzę. Ten sam skutek sprawią szczątki zdechłego psa tu i owdzie porozrzucane koło pola, tym pewniej i dłużej, że nie tak prędko wypłukane deszczem przestaną być czułemi dla zbliżających się zwierząt.

Zabezpieczenie kapusty od uszkodzenia przez zające.

Kto nie dobrze mając ogrodzoną kapustę, zabezpieczyć ją zechce od zajęców, dobrze uczyni kiedy drewniane trzpienie, któremi zapinane bywają wędzące się kiszki i kiełbasy, tu i owdzie między kapustę pozatyka. Woń ich sprawi to, że nie zbliżą się tam zające.

Wszystkie oskrobowiny z serów i woda, w której obmywane były sery, zachowują się aż do czasu sadzenia roślin. Gdy ten nadejdzie, przydaje się do owej wody tyle gliny, iżby z tego utworzyła się gęstawa polewka, w której umoczą się korzonki sadzić się mających roślin, a te bezpieczne będą od napadu zajęców, które między takiemi roślinami nie lubią gościć. Pokropiony zasiew wodą od szynek ten sam sprawiać ma skutek."

*

A teraz osądzcie, czytelnicy, sami, czy ta odkryta wam przeze mnie „nowość" piśmienniczo-łowiecka nie warta była kilku szpalt druku w dziale „przeglądu wydawnictw". A może popróbujecie zastosować te przepisy praktycznie. Niektóre z nich nie są pozbawione słuszności...

WŁ. Z.

ROZMAITOŚCI

WBREW ZARZĄDZENIOM OCHRONNYM.

(-zet-) Niedawno na polowaniu na dziki w lasach Krzywoszyńskich na Polesiu, uczestniczący w niem p. Karol Steinhagen z Myszkowa zastrzelił niedźwiedzia.

Fakt ten miał miejsce wbrew rozporządzeniu Ministra Rolnictwa i R. R., wzbraniającem całkowicie odstrzału niedźwiedzi inaczej, jak za osobnem indywidualnem zezwoleniem, które zasadniczo może być wydawane tylko w miesiącach wrześniu, październiku i listopadzie.

Jak wiadomo, niedźwiedzie na Polesiu liczone są dziś na sztuki, a w razie pojawienia się nowego egzemplarza, czynione są usilne starania celem zatrzymania go na stałe, w myśl intencji ponownego, jeśli się uda, rozmnożenia tego gatunku na naszych ziemiach wschodnich.

Z tych wszystkich względów opisany czyn myśliwego, p. K. S., wstrząsnął opinją świata łowieckiego. Jak doniosła prasa codzienna, władze administracji państwowej, już zajęły się tą sprawą celem ukarania przestępstwa, niewątpliwie również znajdzie ona odgłos na gruncie Polskiego Związku Łowieckiego.

I TAKICH MAMY DZIERŻAWCÓW.

Dnia 25 września r. ub. na polach wsi Jaców, pow. Jędrzejów woj. kieleckiego wieśniacy złapali byka-ósmaka, przepływającego rzekę Nidę. Związawszy jelenia powrozami, zamierzali odwieść go z zamiarem odprzedania właścicielowi lasów Mnichowskich, w których jelenie mają stałą ostoję.

Jednak dzierżawca terenu łowieckiego, na którym byk został schwytany, niejaki Michał Baran z Karsznic, sprzeciwił się stanowczo temu i zabiwszy związanego jelenia, zabrał do domu.

Na wieść o tem leśniczy państwowy, p. Leon Depczyk, odebrał byka i przewiózł do N-ctwa, zaś w sprawie barbarzyńskiego zastrzelenia związanego zdrowego jelenia przez myśliwego, dzierżawcę terenu łowieckiego, zostało złożone doniesienie do Starostwa w Jędrzejowie z wnioskiem o przykładne ukaranie.

Mimowoli nasuwa się pytanie, czy można wobec tego dziwić się wieśniakom i kłusownikom, gdy „legalni" myśliwi robią coś podobnego?

*

W tejże samej okolicy, w lesie państwowym, na granicy z lasami prywatnemi maj. Mnichów, gajowy w czasie obchodu w dn. 20 września r. ub. znalazł martwego jelenia — dziesiątaka, leżącego prawdopodobnie już od kilku dni, gdyż mięso było w stanie rozkładu. Jeleń trafiony był siekańcami z gwoździ przez kłusownika w lesie prywatnym i doszedłszy do lasu państwowego, tutaj padł.

L. PAC - POMARNACKI.

PIĘKNE PAROSTKI.

(-zet-) W ubiegłym roku podczas sezonu polowania na rogacze por. Bohdan Zaorski z 9 pułku uł. Małopolskich w Trembowli napotkał u p. F. w Mogilnicy pow. Trembowla woj. tarnopolskiego niezwykle piękne parostki rogacza, które według relacji p. F. zostały znalezione w jego lesie w r. 1934 w kwietniu, podczas polowania na słonki. Rogi leżały pod śniegiem, jednak nigdzie obok nie znaleziono resztek padłego czy zastrzelonego kozła.

Parostki te zaintrygowały por. Zaorskiego, za zgodą więc właściciela, który nie jest myśliwym, dokonał on zdjęcia fotograficznego i pomiarów, które tu przytaczamy obok reprodukcji zdjęcia rożków.



Parostki z Mogilnicy. Obwód róż 29,7 cm.; grubość ponad rożami 14,6/14,8 cm.; grubość ponad odnogami 12,5/12,6 cm.; wysokość 29,7/28,9 cm. Kolor niestety bardzo jasny.

Należy dodać dla całości historji tych tajemniczych parostków, że następnie właściciel sprzedał je jednemu z nadleśniczych, który znów z kolei odsprzedał je pewnemu myśliwemu Niemcowi. Ten ostatni nabył je za 500.— zł i zamierzał wysłać na Międzynarodową Wystawę Łowiecką do Berlina, jako wartościowy okaz, nie doszło to jednak do skutku, było już bowiem za późno, gdyż wystawa dobiegała do końca.

Por. Zaorski wyraża przekonanie, że parostki te, gdyby znalazły się były pomiędzy polskiemi eksponatami w Berlinie, osiągnąćby musiały znaczną sumę punktów, i kto wie — trafiłyby może do sali honorowej, uzyskując dla Polski jeszcze jedną tarczę w tym dziale.

UBITE NIEDŹWIEDZIE.

Wedle posiadanych z firmy Kalkus we Lwowie wiadomości w listopadzie ubite zostały w Karpatach 2 niedźwiedzie.

1) Wielki okaz niedźwiedzicy napotkanej samotnie ubił naczelnik Sambor w Perehińsku, rewirze Osmołoda; wielkość 2 m. 40 cm. Notatkę o tem podała prasa.

2) Bardzo pięknego czarnego niedźwiedzia wielkości (nie naciągnięty) 2 m. 5 cm., z pięknym żółtym fartuszkiem, ubił hr. Raczyński z Rogalina w dzierżawionym przez siebie rewirze Suchodół (graniczącym z Osmołodą).

JERZY BŁESZYŃSKI.

OBRĄCZKOWANY GOŁĘBIARZ.

(-zet-) Podczas zbiorowego polowania w dniu 5 stycznia r. b. u p. Mieczysława Jeruzalskiego w maj. Trzeciny pow. Wysokie Maz. miejscowy proboszcz, ks. Modzelewski, zastrzelił gołębiarza, posiadającego obrączkę naszej Stacji Badawczej Wędrówek Ptaków. Był to jeden z trzech egzemplarzy, które dnia tego trzymały się razem w niewielkim lasku i były obserwowane przez myśliwych.

PRZEZ MIKROFON

(-zet-) Należy stwierdzić, że Polskie Radjo w ubiegłym roku udzieliło niejednokrotnie łowiectwu naszemu gościny na falach eteru, roznosząc pomiędzy radjosłuchaczy wiele wiadomości z tej dziedziny, podanych w opracowaniu znanych myśliwych i publicystów.

Niektóre z tych audycyj, skwapliwie słuchane przez myśliwych, stanowiły dla nich przedewszystkiem pożądaną strawę, lecz wszystkie jednocześnie uświadomiały szeroki ogół o istotnych wartościach łowiectwa, przyczyniając się do popularyzacji właściwej o niem opinji.

Podając poniżej wykaz nadanych przez Polskie Radjo audycyj łowieckich, należy na tem miejscu wyrazić Dyrekcji P. R. gorące podziękowanie za jej przychylne ustosunkowanie się do tej dziedziny, której znaczenie ideowe, wychowawcze i ekonomiczne zostało uznane przez wiele kulturalnych narodów świata.

AUDYCJE NADANE NA WSZYSTKIE ROZGŁOŚNIE R. P. w 1937 r.

M. Pawlikowski — Polowanie z łódki.
J. Dylewski — Myśliwy.
W. Korsak — Tajemnice jezior Puszczy Rudnickiej.
J. Dylewski — Z wabikiem na rogacza.
J. Urbański — Czapli raj pod Sierakowem.
T. Dominik — Pożeracze bakterji w gospodarstwie natury.
E. Schechtel — Kozica i świstak.
A. Mniszek — O przelocie ptaków.
J. Dylewski — Jeleń.
„ — Puszcza w jesieni.
A. Wodnesko — Udział Polski w światowym ruchu ochrony przyrody.
J. Dylewski — O łosiu w Polsce.
F. Dangel — Las w zimie.
St. Kubicki — Nasze bociany na polowaniu w Afryce.
A. Stjerna — Miotacz harpunów.
F. Dangel — W gościnie u bobrów.
J. Dylewski — Nasze ptaki (dla dzieci).
„ — Łowiectwo polskie na międzynarodowej wystawie łowieckiej w Berlinie (17.VI.1937 r.).
„ — Myśliwy na wodach Polesia.
„ — Udział Polski w wystawie łowieckiej w Berlinie (na Amerykę).
„ — Łowy zimowe (po angielsku na Amerykę).
„ — Po białej stopie.
W. Garczyński — Przełomowa chwila w łowiectwie polskiem.
J. Dylewski — Otwarcie międzynarodowej wystawy łowieckiej w Berlinie.
„ — Pawilon Polski w Berlinie.
„ — Ciekawostki wystawy berlińskiej.

W ROZGŁOŚNIACH PROWINCJONALNYCH NADANO:

Lwów — Rudolf Wacek — Polowania wodne i błotne.
„ „ — Tegoroczne rykowisko.
„ „ — Zając i polowanie na niego.
Kraków — Klemens Junosza — Wspomnienia myśliwskie
— Janusz Meisner — Polowanie wigilijne.
Łódź — Audycja muzyczna p. t. „Bigos myśliwski".
Poznań — Inż. Meyer — Na rykowisku jeleni.
Toruń — Dr. Inż. Ossowski — Wrogowie zwierzyny łownej.
„ „ „ — Ochrona lęgów łownych.
„ „ „ — Lizawki dla łowiska.
„ „ „ — Hodowla bażantów, jako użytek boczny rolników.
„ „ „ — Odszkodowania łowieckie.
„ „ „ — Jesienne prace łowieckie.
„ „ „ — Szaraki.
„ „ „ — Łowiectwo w grudniu.
Wilno — Feliks Dangel — Zwalczajmy kłusownictwo.
— T. Ł. Z. Wschodn. — Chwilka łowiecka.
„ „ — Chwilka łowiecka.

S. O. S.

„Troll", pointer czarny, z ledwo znaczną białą kreską na piersi i lekko zadartym nosem, lat 4 i pół, własność p. Prokuratora O. Stetkiewicza z Białegostoku, zginął lub został skradziony w dniu 28.XII.1937 r.

Z uwagi na wielką wartość myśliwską tego psa, jak również dla kynologji polskiej, jako doskonałego reproduktora, prosimy wszystkich myśliwych, zwłaszcza tych, którzy „Trolla" znali, o pomoc w odszukaniu go i powiadomienie o tem Redakcji lub bezpośrednio p. Prok. Stetkiewicza, pod adresem: Białystok, Świętokrzyska 22 m. 5 i zatrzymanie psa.

Właściciel „Trolla" przeznaczył *nagrodę zł. 100*, która stoi do dyspozycji zainteresowanych, którzy okażą pomoc w odnalezieniu psa.

REDAKCJA.

KRONIKA MYŚLIWSKA

— Dn. 30.X.1937 r. odbyło się polowanie na bażanty w maj. Borki p. Radzyńskiego wł. SS. śp. Zygmunta Jaźwińskiego w którem wzięli udział: pp. Włodzimierz i Stefan Ks. Czetwertyńscy, Waldemar, Stanisław i Adam Dernałowiczowie, Zygmunt i Konstanty Jaźwińscy i August hr. Zamoyski. Ubito 128 sztuk, najwięcej na rozkładzie miał p. Stanisław Dernałowicz — 29 sztuk.

— Dn. 6.XI.1937 r. odbyło się w maj. Białka u p. Waldemara Doria Dernałowicza polowanie, w którem wzięli udział: pp. Zofja Ks. Czetwertyńska, Adamowie Dernałowiczowie, Waldemar Dernałowicz, Tadeusz Dernałowicz, Zygmunt i Konstanty Jaźwińscy, Stanisław Ośniałowski i August hr. Zamoyski. Opolowano ca 100 ha zagajników w pędzeniach i jedną ławę polną. Ubito 153 króliki, 31 bażantów, 30 zajęcy i lisa. Razem sztuk 215. Wielkie ożywienie sprawiały niespotykane na prawym brzegu Wisły króliki, które w Białce znalazły świetne warunki rozwoju. Najwięcej na rozkładzie, 53 szt., miał p. Zygmunt Jaźwiński.

— Dn. 17.XI.1937 r. odbyło się polowanie na polach Dóbr Radzyń, wł. p. Bronisława Szlubowskiego, w którem wzięli udział pp. Stanisław Chłapowski, Adamowie Dernałowiczowie, Waldemar, Stanisław i Czesław Dernałowiczowie oraz Zygmunt i Konstanty Jaźwińscy. W czterech kotłach przy sprężystej organizacji, spoczywającej w rękach p. Stanisława Chłapowskiego ubito 123 zające i 8 kuropatw. Najwięcej miał p. Zygmunt Jaźwiński — 25 szt.

— W dn. 22 i 23 listopada 1937 r. w dobrach Suchowola Seweryna Ks. Czetwertyńskiego odbyło się polowanie przy udziale 12 strzelb. Upolowano 454 zające, 309 bażantów, 35 kuropatw i 2 różne, razem 800 sztuk. Największy pokot osiągnął Roman Hr. Bielski, mianowicie 100 sztuk. Tak piękny, jak na Podlasie, wynik należy zawdzięczać racjonalnej hodowli i starannej opiece terenów, niestety rzadko u nas spotykanej.

— W dn. 4 i 5 stycznia 1938 r. w lasach dóbr Jabłoń pow. radzyńskiego u Augusta Hr. Zamoyskiego odbyło się polowanie na dziki i zające, w którem wzięli udział pp. Włodzimierz i Stefan Ks. Czetwertyńscy, Waldemar, Stanisław i Adam Doria - Dernałowiczowie, Remigjusz i Andrzej Hr. Grocholscy, Zygmunt, Konstanty i Tadeusz Jaźwińscy, Kazimierz Hr. Plater - Zyberk, pułk. von Studnitz, Leszek i August Hr. Zamoyscy.

Spowita w okiść knieja jabłońska witała drużynę łowiecką w blasku słońca styczniowego przy 20° C, odsłaniając swe skarby, wyniki wielu starań i umiłowania jej właściciela. To też gdy po dwóch dniach łowów zabłysły przed pałacem w Jabłoniu pochodnie i zagrały trąby, a na rozkładzie znalazło się 12 dzików (3 odyńce, 1 wycinek, 2 lochy i 6 warchlaków), oraz 111 zajęcy, wszyscy uczestnicy zgodnie zawołali: „Świętemu Hubertowi cześć!".

— Na terenach majątku Grodkowo - Sobanice pow. płockiego u p. Kazimierza Dziewanowskiego odbyły się następujące polowania:

Dn. 6.IX.37 polowano w Grodkowie na kuropatwy, podniesiono 424 sztuki, przy udziale 11 myśliwych. Najlepszy rezultat osiągnął p. Wacław Górski z Nadółk, zabijając 50 sztuk.

Dn. 22.XI.37 w Sobanicach 12 myśliwych ubiło: 180 zajęcy, 90 bażantów, 8 kuropatw, 2 kozły, lisa i 4 różne, ogółem 285 sztuk. Największy rezultat osiągnął p. Zbigniew Wilski, zabijając 32 sztuki.

Dn. 7.XII.37 w Grodkowie w 8 strzelb zabito 220 sztuk. Najwięcej miał na rozkładzie p. Stefan Mieczkowski z Dzierżanowa — 47 sztuk.

— Dn. 20.XI.37 na terenach majątku Kucice pow. płońskiego u p. Kazimierza Bolechowskiego przez pół dnia 9 myśliwych ubiło 120 zajęcy, 5 bażantów i 15 kuropatw: ogółem 140 sztuk. Najwięcej ubił p. Stefan Bolechowski, mając na rozkładzie 24 sztuki.

— Dn. 29.XI.37 w Dzierżanowie pow. płockiego u p. Stefana Mieczkowskiego odbyło się polowanie na terenach własnych i dzierżawionych. Ogółem ubito 522 sztuki, w czem 449 zajęcy, 59 kuropatw, 14 bażantów. Wśród 19 myśliwych największy rezultat osiągnął p. Stanisław Dziewanowski z Grodkowa, zabijając 42 sztuki.

— Dn. 14.XII.37 w majątku Majki pow. płockiego u p. Jana Zakrzewskiego polowało 11 myśliwych. Ubito 290 zajęcy, 18 kuropatw, 5 lisów i 1 bażanta. Najwięcej ubił p. Andrzej Wilski z Wielgiego, mając na rozkładzie 47 sztuk.

— Dn. 30.XII.37 u p. Zygmunta Cichowskiego w Pilichowie pow. płockiego oraz na terenach dzierżawionych odbyło się polowanie przy udziale 20 myśliwych. Ogółem ubito 302 sztuki, w tem 280 zajęcy, 22 kuropatwy. Najwięcej miał na rozkładzie p. Kazimierz Dziewanowski z Grodkowa — 24 sztuki.

— W sezonie myśliwskim 1937 odbyły się w Karminie u pp. Edwardostwa Morawskich następujące polowania.

Dn. 16 września 1937 polowano na kuropatwy pędzone przy udziale 7 myśliwych. Podniesiono 320 sztuk.

Dn. 27 października 1937 polowano w remizach, zagajnikach i poplonach przy udziale 6 myśliwych, podczas fatalnej pogody. Podniesiono: 79 bażantów, 15 kuropatw, 2 słonki, 135 królików, 72 zające i 4 różne; razem 307 sztuk.

Dn. 8 listopada 1937 polowano w polu i w zagajnikach przy udziale 10 strzelb. W dwóch kotłach, jednej ławie i pięciu pędzeniach podniesiono: 297 zajęcy, 55 kuropatw, 24 bażanty, 74 króliki; ogółem 450 sztuk.

Łącznie ze zwierzyną ubitą przygodnie w ciągu sezonu 1937 padło w łowisku Karmin: 2 jelenie, 5 kozłów, 2 lisy, 475 kuropatw, 105 bażantów, 373 zające, 283 króliki, 2 słonki, 9 kaczek i 1 kszyk; razem 1257 sztuk zwierzyny łownej.

— W dn. 20.XII.37 w Masłowicach p. radomskowskiego u pp. Stanisławostwa Zalewskich odbyło się doroczne polowanie, na którem w 12 strzelb ubito w jednym kotle, jednej ławie i kilku miotach leśnych: 30 kuropatw, 28 bażantów, 42 króliki, 300 zajęcy, razem 400 sztuk. Kuropatwy strzelano za zezwoleniem Województwa. Najwięcej na rozkładzie miał p. Bolesław Jakubowski — 47 sztuk.

Podkreślić należy, że polowanie w Masłowicach jest jaskrawym dowodem co może zdziałać praca, opieka i amatorstwo łowieckie gospodarza. Siedem lat temu polowanie dało 80 sztuk, przy corocznem polowaniu i corocznej poprawie osiągnięto 400 sztuk! Stan kuropatw znakomity i gdy zaczynano od setki, to tej jesieni w łowach i pędzeniach podniesiono 500 sztuk. Za wielką gościnę domową i myśliwską, za piękny dzień łowiecki, cała nasza tradycyjna kompanja serdeczne składa podziękowania, najgościniejszym gospodarstwu. B. J.

— Na terenach bersztańskich Nadniemeńskiego Kółka Łowieckiego, na polowaniu w dn. 22 i 23 stycznia r. b. ubito w 16 strzelb: 1 rysia, 12 dzików, 1 lisa, 2 jarząbki i 2 bielaki.

TREŚĆ NUMERU:

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28; miesięcznie zł. 2,50. **Dla członków Polskiego Związku Łowieckiego:** za kwartał **zł. 6;** za pół roku **zł. 12;** za rok **zł. 24;** miesięcznie **zł. 2.** Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca 25 gr. Pocztowe Konto Rozrachunkowe Nr. 206, Warszawa 1.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł
Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa



MUZEUM MYŚLIWSKIE

i PRACOWNIA WYPYCHANIA PTAKÓW i ZWIERZĄT

oprawy rogów i kłów, **wyprawy** skór z włosami na zamsz, **robienia** dywanów i kołnierzy zwierzęcych

STEFANA GREULICHA

WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 61. Telefon 5.37.84





EGZ. OD 1861 R.

SKŁAD i FABRYKA BRONI

J. SOSNOWSKI w Warszawie

sp. z o. o.

Krakowskie Przedmieście 7, Tel. 647-47

WYJĄTKOWA OKAZJA!!!

Chlubnie znane od kilkudziesięciu lat COCKERILL'ki, bezkurkowe, M. L. z koroną, systemu Anson Deeley, cal. 12,16,20 od Zł. 200.–
takież same z eżektorami od Zł. 300.–

WIKTOR ŁASTOWSKI



PRACOWNIA WYPYCHANIA ZWIERZĄT I PTAKÓW

oprawa rogów, robienie dywanów, wyprawa skór.

Warszawa, Krak. Przedm. 10, telefon 6-86-78.
Wprost kośc. Ś-go Krzyża

Inż. LUDWIK SZMID

TECHNIK LEŚNY
TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO
Warszawa, Okólnik 9 m. 13, telefon 6.39-36

Na dogodnych warunkach wykonywa wszelkie roboty, wchodzące w zakres leśnictwa, jak: urządzenia lasów, rewizje planów, stałe lub jednorazowe inspekcje, ocenę porąb i całych drzewostanów na sprzedaż, przy kupnie, działach rodzinnych i sprawach spadkowych.

Administracja Dóbr Zielona Dąbrowa, poczta Juljanka, st. kol. Potok Złoty, sprzedaje żywą zwierzynę; (zające, bażanty, kuropatwy). Cenniki na żądanie.

Bażantarnika dzielnego fachowca, do samodzielnego prowadzenia bażantarni, energicznego tępiciela drapieżników i kłusownictwa, tylko z pierwszorzędnemi referencjami przyjmę. Zgłoszenia kierować do Redakcji pod Nr. 192.

Bażanty-koguty myśliwskie, srebrne, oraz żywe króliki sprzeda Nadleśnictwo Miłosław.

Leśnik podłowczy górnoślązak, z kilkuletnią praktyką leśną i łowiecką oraz ukończoną szkołą łowiecką poszukuje posady od 1-go kwietnia 1938 r. w leśnictwie lub łowiectwie. Oferty pod Nr. 718 „Łowiec P."

Leśniczy, lat 28, z ukończoną szkołą leśną, praktyką u ojca leśnika-łowczego, który pracował 24 lata w Krośniewicach; energiczny, specjalista tępienia drapieżników, hodowca bażantów, kuropatw w stanie sztucznym i dzikim — przyjmie posadę leśniczego, podleśniczego, hodowcy zwierzyny, jako kawaler lub żonaty, od zaraz lub 1 kwietnia .r b. Świadectwa b. dobre. Łaskawe oferty: Bolesław Łysiak, wieś Mażew, gm. Mażew, poczta Łęczycki.

Para puhaczy na sprzedaż za 100 zł. J. Błażejko, Pińsk, Krajewskiego 101.

Pomocnik bażantarnika, chłopiec, kawaler, z praktyką w większych bażantarniach, potrzebny. Dobra Borki, p. Radzyń podlaski.

Puhacza kupię. Zgłoszenia przyjmuje Redakcja „Łowca Polskiego" pod Nr. 192.

Szczenięta pointery jednomiesięczne po Trollu i Inie (Splendor-Arja i Splendor-Bey) do sprzedania. Informacje u właściciela Kazimierza Tarnowskiego, Góra Zbylitowska pow. Tarnów, lub w Redakcji „Łowca Polskiego".

Śliczna, ośmiomiesięczna setterka angielska po „Bronir Inie Manrou" i „Surprise Hora", wnuczka sławnego Ziegried Vigilla, okazyjnie do sprzedania. Wiadomość: Stanisław Tarnowski, Szczaworyż, pow. Stopnica.

Wyżły niemieckie (gryfony) ostrowłose, szczenięta dwumiesięczne po psach polowych Dżeku i Norze do sprzedania po przystępnej cenie. Wiadomość: Warszawa, Waszyngtona 6, telefon 10-25-00.

Zające żywe w kompletach 1:2 lub 1:3 z łowisk kresów południowo-wschodnich lub z Wileńszczyzny zakupi Nadleśnictwo Miłosław.



WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA

SKŁADY BRONI I FABRYKA AMUNICJI I ŚRUTU

w WARSZAWIE, UL. KRÓLEWSKA 17

poleca

dubeltówki bezkurkowe znanej belgijskiej Fabryki Nacjonalnej w Liège, bardzo solidnej roboty, z bocznymi zamkami syst. Hollanda, z eżektorami, z gwarancją strzału, po zł. 380.

ODDZIAŁY WŁASNE: POZNAŃ BR. PIERACKIEGO 12 · LWÓW PLAC MARIACKI 4 · WILNO WILEŃSKA 10 · KATOWICE MŁYŃSKA 2